



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Adam Michalski

Moje wojenne przeżycia

W 1938 roku po ukończeniu szkoły powszechnej zdawałem egzaminy do gimnazjum państwowego w Kielcach. Niestety, mimo zdania egzaminu nie zostałem przyjęty – jakoby z braku miejsc. W domu rozpacz. Mam zamkniętą drogę do dalszej nauki. Pierwsze szokujące niepowodzenie. Jedyne wyjście to uczęszczanie jeszcze do klasy siódmej, ale w innej miejscowości, oddalonej od domu o pięć kilometrów, na przedmieściu Kielc. Nie mam wyboru. Szkoła znajduje się w Mójczy. Chodzę więc tam codziennie na piechotę. Wydaje mi się, że ukończenie siódmej klasy pomoże mi w lepszym przygotowaniu się do egzaminów w następnym roku.

Rok 1939. Rodzice podjęli kolejną próbę umieszczenia mnie w gimnazjum państwowym w Kielcach. Mając przykre doświadczenia z ubiegłego roku, tym razem ojciec postarał się dla mnie zawczasu o korepetycje. Wydano ostatecznie grosze na ten cel. Kończę więc siódmą klasę, a przy tym intensywnie przygotowuję się do egzaminów. Nic innego nie robię w domu, tylko kuję. Jestem zwolniony od wszystkich czynności domowych. Koniec roku szkolnego. Świadectwo szkolne z siódmej klasy mam bardzo dobre. Jestem drugi w klasie. Wydaje mi się, że jestem dobrze przygotowany do egzaminów z języka polskiego, matematyki i historii. Obawiam się tylko tego, żebym nie popełnił jakiegoś błędu podczas wysławiania się w czasie egzaminów. Zdaję sobie bowiem sprawę z tego, że nie jestem z miasta i mam pewne naleciałości języka wiejskiego. Tym razem jadę już do miasta sam. Nie potrzebuję już przewodnika. Wiem, gdzie się co znajduje. Podobnie jak w ubiegłym roku, na okres egzaminów instaluję się u wuja. Jestem kilka dni wcześniej w mieście, gdyż Sabina – córka wuja, ma mi jeszcze pomóc w powtórzeniu niektórych materiałów z języka polskiego i historii Polski. Przez tydzień więc powtarzamy materiał z klasy szóstej i siódmej. Przy tym kuzynka poprawia mnie w wymowie języka polskiego. Moja retoryka zdradza mnie bowiem, że pochodzę ze wsi.

Nadszedł dzień egzaminów. Znalazłem się w okazałym budynku gimnazjum im. Śniadeckich. Przystąpiłem najpierw do egzaminu pisemnego z języka polskiego, potem z matematyki. Po kilku dniach odbyły się egzaminy ustne. Wydaje mi się, że zdałem. Czulem to wewnętrznie, ale po wyniki należało się zgłosić za kilka dni. Kiedy ponownie pojawiłem się w gimnazjum okazało się, że mimo zdania egzaminów znów nie zostałem przyjęty – z braku miejsc. Brama szkoły średniej ponownie zatrzasnęła się przede mną. Różne myśli przychodzą mi do głowy, nawet te najgorsze. Tyle nadziei było w domu tym razem, a tu znowu taka wiadomość spadnie wszystkim na głowy. Nowy przypływ rozpaczyny ogarnia mnie. Nie wiem co zrobić ze sobą. Wybiegam z budynku, pokonuję kilka ulic i wydostaję się na drogę prowadzącą do Sakowa. Dziesięć kilometrów na piechotę do gajówki. Rozmyślając o swym losie nawet nie zauważyłem, kiedy znalazłem się w Sakowie. Nadchodzi wieczór. Przekroczyłem po kładce

rzekę i znalazłem się przy ogrodzeniu domu. Rodzina jest w komplecie. Niepewnie stoję w kuchni. Nie widać we mnie radości, jak to zwykle bywa, kiedy jakaś sprawa jest uwieczniona sukcesem. Domownicy spoglądają na mnie. Zrozumieli bez słów, że źle stoją moje sprawy. Urywającymi zdaniem opowiadam co i jak było w mieście. Wiadomość o nieprzyjęciu mnie do szkoły poraża rodzinę. Matka płacze, ojciec klnie na istniejące rządy, porządki, ustrój i złe czasy.

Po kilku dniach rodzice postanowili, że skoro nie dostałem się do gimnazjum, należy mnie posłać do nauki jakiegoś zawodu. Stwierdzili, że powinienem zostać jakimś mechanikiem, ślusarzem, stolarzem, bo jakoby mam duże zdolności w tym kierunku. Zaczął więc ojciec jeździć do miasta w poszukiwaniu miejsca w rzemiośle dla mnie. Ale za każdym razem przyjeżdżał do domu z niczym i w dodatku pijany.

Nie wiem ze sobą zrobić. Za jakiś czas jednak dochodzę do siebie. Każdy dzień przynosi jakieś wieści z kraju i ze świata. Zaprzatają one mój umysł. Któregoś dnia ojciec wrócił z pracy w lesie w niezłym humorze. Zdjął z siebie czapkę i mundur, chrząknął, podkreślił wąsa i zasiadłszy do kolacji mówi:

– Mam dobrą wiadomość. Nasz Adam mógłby wreszcie dostać się do szkoły, ale nie do takiej zwykłej, lecz specjalnej. Dzisiaj spotkałem Meresińskiego z Niestechowa, który mi powiedział, że może nam pomóc w dostaniu się Adama do seminarium duchownego. On tam już ma swego syna od zeszłego roku. Podobno znasz go ze szkoły. Pytam cię więc, czy poszedłbyś do takiej szkoły? – zwraca się ojciec do mnie.

Widząc mój kategorię przeciwną co do pójścia do seminarium duchownego, rodzice w końcu dali mi spokój. Jest to mój pierwszy opór wobec ich sugestii. Tymczasem wakacje tego lata są wyjątkowo pogodne. Słowo wojna jest na ustach wielu ludzi. Z doniesień radia i prasy wynika, że mimo potęgującego się z każdym miesiącem, a nawet tygodniem zagrożenia ze strony Niemiec hitlerowskich, rząd nasz niestety nie zmienia swej polityki wobec ZSRR. Nie było dnia, aby nie powtarzano w radiu: „Jesteśmy silni, zwarci, gotowi”.

Nagle 24 sierpnia dowiadujemy się, że marszałek Rydz-Śmigły wydał rozkaz zarządzający natychmiastową mobilizacją alarmową. A zatem to już nie są żarty – myślę. Skoro doszło do tego, sytuacja jest poważna. To posunięcie spowodowało, że przed sklepami w mieście zaczęły się tworzyć długie kolejki. Ludzie pragną zrobić pewne zapasy żywności na wypadek wojny. Wszystkich opanowuje psychoza zakupów. Zostało rozplakatowane rozporządzenie rządu, które ustala ceny artykułów pierwszej potrzeby i sankcje za ich nieprzestrzeżenie. Nie widać specjalnej paniki. W rozmowach niektórzy wyrażają nadzieję, że się nie damy Niemcom. Zarówno w mieście, jak i na wsi ludzie zaczęli kopać schrony i rowy obrony przeciwlotniczej. 25 sierpnia radio donosi, że został podpisany w Londynie układ polsko-brytyjski, gwarantujący wzajemną pomoc na wypadek agresji ze strony Niemców. Wiadomość tę przyjmujemy z wielką radością i pewną ulgą. Zaraz w komentarzach słyszymy, że „mając takiego sojusznika, nie musimy się niczego bać”.

30 sierpnia w południe została ogłoszona mobilizacja powszechna. Rozplakatowano afisze z nagłówkami „Obwieszczenie mobilizacyjne”. Nazajutrz tysiące mężczyzn żegna swoje rodziny i śpieszy do wskazanych koszar. Do rejonowych komend uzupełnień zgłasza się także wielka liczba ochotników. Jakkolwiek nie byłem zwolennikiem Polski sanacyjnej, gdyż nie widziałem w niej przyszłości dla siebie, w obliczu zagrożenia państwa 31 sierpnia zgłosiłem z dwoma kolegami w koszarach 4 pułku piechoty na Bukówce pod Kielcami. W tajemnicy przed rodziną prosiliśmy o przyjęcie do wojska na ochotnika, mimo że mieliśmy po 14-15 lat. Niestety, nasz wygląd młodzików sprawił, że nas nie przyjęto. Nawet nie pomogło dołożenie sobie po trzy lata. Powiedziano nam, że po pierwsze jesteśmy za młodzi, jeszcze szczeniaki, a po drugie brakuje broni dla ochotników. Wróciliśmy do domów zawiedzeni, rozżaleni, rozgoryczeni.

1 września 1939 roku rano włączyłem odbiornik radiowy. Nagle słyszę: „Uwaga! Uwaga! Tu Polskie Radio Warszawa. Podajemy, że dziś nad ranem wojska niemieckie przekroczyły granicę polską bez wypowiedzenia wojny”. W pierwszej chwili oniemiałem, zatkało mnie. Kiedy oprzytomniałem, jak burza wypadłem z domu na podwórko krzycząc – „Mamo! Mamo! Wojna! Tak mówią w radiu”. Matka wyprostowała się nad balią z praniem stojącą przed sienią. Przez jakiś czas nic nie mówi. Stoi jakby była zahipnotyzowana. Po chwili podnosi rąbek fartucha do oczu i ociera łzy.

– Źle się stało, synu. Ja wiem, co znaczy wojna. Przeżywałem ją w 1914 roku. Straszne to były czasy. Miałem wtedy jak raz tyle lat, co ty masz teraz – rzecze.

A potem już przez cały dzień powtarzano komunikaty radiowe. Prawie nie odchodziłem od radioodbiornika. Ojciec wrócił z pracy wcześniej, koło południa. Miało się już ku wieczorowi, kiedy nadleciała grupa samolotów. W Kielcach zawyły syreny. Wybiegliśmy wszyscy z domu na podwórko. Samoloty leciały dość wysoko w kierunku Kielc. Po chwili zawróciły, wykonały jeden krąg i kiedy zaczęły wykonywać drugi, ojciec odezwał się:

– No, to wreszcie mamy te angielskie samoloty.

– Angielskie? To dlaczego wyją syreny? – Nie dokończyłem zdania, kiedy pod nami zatrząsa się ziemia. Z pobliskich koszar wojskowych na Bukówce zaczął się wydobywać dym. Syreny wciąż wyją przeraźliwym głosem. Dreszcze przelatują mi po plecach. Kulę się w sobie. Maszyny zawracają i znowu

targa powietrzem niesamowity huk. W koszarach znowu pokazują się słupy dymu i ognia. Samoloty wzbijają się w niebo i lecą teraz w kierunku lotniska cywilnego Masłów. Skryły się za lasem, ale ich warkot słychać nadal. Po chwili słychać następne wybuchy. Gdzież ta nasza siła, o której tyle mówiono w ostatnich tygodniach, prawie każdego dnia, przez radio – myślę.

Następnego dnia rano spadły bomby przy fabryce „Społem” w Kielcach, a 4 września niemieckie samoloty zbombardowały dworzec kolejowy, który legł w gruzach. Znowu wyły syreny podczas nalotu. Tylko tyle. Nic więcej, żadnego przeciwdziałania.

Czwartego września zawitało do gajówki kilkunastu żołnierzy polskich. Proszą o wodę i jedzenie. Przebierają się w ubrania cywilne, a broń i oporządzenie wojskowe zostawiają nam. Ojcu i mnie nakazują, że mamy się tym wszystkim zaopiekować dotąd, aż przyjdzie czas, kiedy oni po to wszystko się zgłoszą. Jakżeż poważne i odpowiedzialne zadanie. Przy tym wielki kłopot i strach. Całe szczęście, że żołnierze zostawili kilka puszek ze smarem do broni. Karabiny i inne rzeczy przenieśliem do szopy, żeby przypadkiem ktoś nie zobaczył co robię. Potem owinąłem je przesyconymi wazeliną i oliwą szmatami. Zrobiłem skrzynkę wielkości karabinów. Przenieśliem to wszystko do pobliskiego zagajnika w miejsce, które było wiadome tylko mnie i ojcu. A potem jeszcze przez kilka dni i nocy polscy żołnierze zahaczają o gajówkę. Niektórzy są bardzo wymizerowani. Doprowadziwszy się do jakiegoś takiego stanu przy naszej pomocy, opowiadają w skrócie o stoczonych bitwach, potyczkach i różnych zdarzeniach. Jedni idą dalej z bronią, inni zaś zostawiają ją w gajówce.

Piątego dnia wojny ruch ludności jakby osłabł. Wojsko jednak wciąż przejeżdża przez wieś, ale się nawet nie zatrzymuje. Wielu mężczyzn z naszej wsi uciekło do pobliskiego lasu. Niektórzy udają się z tobołkami na wschód. Kiedy włączam radio, przebijają stacje niemieckie mówiące po polsku. Nawołują Polaków do niestawiania oporu, gdyż jest to daremne. Niemcy mówią, że wyzwalają nas spod ucisku polskich jaśniepanów, arystokratów, burżujów, którzy za nic mają naród polski. Tłumaczą, że dopiero pod ich rządami doznamy prawdziwej wolności, sprawiedliwości społecznej, poprawy życia. Oprócz tego chępią się sukcesami odnoszonymi każdego dnia na froncie. Mam już tego dość.

Tego dnia wieczorem przybiegło do naszej gajówki z pobliskiej wsi czterech znajomych rolników z węzłkami. Wystraszeni, informują nas, że Niemcy są już blisko i wszystkich mężczyzn rozstrzelują. Z ich relacji wynika, że jacyś nieznanymi ludźmi kręcą się po wsi i roznoszą makabryczne wieści wzbudzając strach i panikę. Również stwierdzają, że teraz wyleźli ze swych nor tacy, którzy nagle stali się gorliwymi wielbicielami Niemców. Ojciec stara się ich uspokoić, ale bez skutku. Sam nie wie, jakich użyć argumentów, aby się uspokoili. W każdym razie nie kwapi się do wyruszenia z gajówki gdziekolwiek. Chłopi za to nalegają abyśmy uciekali na wschód. Wreszcie ojciec zaczyna tracić pewność siebie. Trudno bowiem zgadnąć, kto tutaj ma rację. Po chwili woła:

– „Adam, ubieraj się! My też idziemy. Mietek zostanie jako nieletni w domu”. – Następnie otwiera drzwi i krzyczy do chłopów – „Poczekajcie na brzegu lasu, my też idziemy!”

Matka wręcza nam małe węzłki z żywnością. Żegnamy się z rodziną i ruszamy w kierunku lasu. Na jego brzegu dołączamy do grupy. Idziemy drogami leśnymi, przesiekami, duktami. Po kilku godzinach marszu zatrzymujemy się na odpoczynek. Zmógł nas sen. Do rana śpimy pod rozłożystymi drzewami sosen. Budzi nas chłód. Około dziesiątej znaleźliśmy się przy szosie. Znowu widzimy tłumy uciekinierów. Ale do nich nie dołączamy. Ojciec uważa, że na szosie jest niebezpiecznie. Mogą nas zaatakować samoloty. Za chwilę słyszymy ich warkot. Piloci ostrzeliwiają drogę z karabinów maszynowych siekąc po ludziach. My w pośpiechu kryjemy się za przydrożnymi dębami. Wreszcie cisza. Słychać tylko jęki ranych. Nie możemy im pomóc. Nie mamy czym i jak. Przebiegamy przez szosę na drugą stronę i wchodzimy do następnego kompleksu leśnego. Noc spędzamy w gajówce u Jana – znajomego ojca. Jeszcze przed pójściem spać odbyła się rozmowa, podczas której znajomy uświadomił nam, że ucieczka z domów jest w takiej sytuacji tchórzostwem i powinniśmy wrócić do swych rodzin.

Następnego dnia zawróciliśmy i koło południa znaleźliśmy się znowu w domu rodzinnym. Około północy słyszymy warkot silników na szosie biegnącej przez naszą wieś z Borkowa do Kielc. Z lasu wylaniają się światła reflektorów. A potem naszym oczom ukazuje się na szosie długi sznur samochodów i motocykli. Kilka pojazdów zatrzymuje się, a reszta udaje się w kierunku Kielc. Okazuje się, że nasz rejon Niemcy zajęli bez oporu ze strony wojskowych jednostek polskich. Jeszcze tej nocy wykopuję z bratem dwa maszty, na których rozpostarta jest antena radioodbiornika. W czasie dnia składam tę antenę na strychu domu. Radio Warszawa podaje, że Niemcy są już w pobliżu stolicy.

Wieczorem siedemnastego września dowiadujemy się z radia moskiewskiego, że rząd radziecki wydał rozkaz, aby jednostki Armii Czerwonej przekroczyły zachodnią granicę ZSRR i wzięły pod ochronę ludność Ukrainy i Białorusi. Na drugi dzień zawitał do nas wuj Stanisław, brat matki. Miał pozostać u nas przez dłuższy czas. Był bezrobotny, miał się różnych prac, aby się utrzymać. Osiemnastego września dowiadujemy się znowu, że nasz rząd z marszałkiem Rydzem-Śmigłym na czele przekroczył granicę Polski w miejscowości Kutry, udając się do Rumunii. Jest to dla nas kolejny cios. Poraża nas niemiłosiernie.

Koniec września przynosi nam wiadomość o kapitulacji Warszawy. Do tej pory żyliśmy z nią, myślami byliśmy przy niej. Tkwiące w nas jeszcze pewne nadzieje, że może przyjdzie wreszcie oczekiwana z wielkim utęsknieniem pomoc z Zachodu, rozwiewają się niby liście jesienią. Dopóki Warszawa broniła się, wydawało się nam, że Polska jeszcze żyje. Teraz kończy się wszystko. Smutek opanowuje nasze serca, łzy lecą mi z oczu. Następnego dnia będąc we wsi usłyszałem, jak chłopci pomstują na rząd, który uciekł za granicę, na polskich panów, kapitalistów, którzy oszukali naród, oddając na pastwę niemieckiego faszyzmu wszystko co polskie. Za klęskę Polski obarczają również winą Anglię i Francję, które nie dotrzymały danej obietnicy przyjscia z pomocą.

Po opanowaniu przez wojska niemieckie Kielecczyny, pierwsze dni stają się bardzo smutne i przygnębiające. Chodzimy wszyscy osowiali. Nawet mało mówimy do siebie. Całkowite ogłuszenie. Przez jakiś czas nawet i ze wsi nikt nie przychodzi do gajówki. Nawet nikt nie pokazuje się w lesie, ani na polach, mimo że jeszcze jest sporo roboty przed zimą. Jakby na ludzi padł jakiś pomór. Ojciec także przestał chodzić do pracy w lesie, bo nie ma jeszcze takiej decyzji z nadleśnictwa. Przebywa więc w domu i nudzi się. Gajówka przestała spełniać rolę urzędu leśnego, mimo że jej budynki szczęśliwie nie zostały dotknięte przez wojnę. Również jakimś zbiegiem okoliczności pobliska wieś nie ucierpiała. Po zajęciu miasta i miasteczek Kielecczyny Niemcy na razie nie pokazują się we wsiach. Jedynie w urzędach gminnych. Z początku nic nikomu złego nie czynią. Stwierdziwszy więc, że w pobliskiej wsi jest spokój, wyruszam wieczorami do kolegów, by posłuchać co opowiadają jej mieszkańcy. A wszystkich pochłania wówczas polityka.

Jednym z najcięższych doznań, jakie odczuwamy w pierwszych dniach po wkroczeniu Niemców do Polski jest brak żywności. Ludzie z miasta rozpoczęli więc wędrówki do wsi w poszukiwaniu chleba i tłuszczu. Pieniądze zaczęły tracić na wartości, więc zaczęto stosować handel wymienny między miastem i wsią. Miastowi wyprzedają meble, ubrania i inne przedmioty za produkty żywnościowe. Pojawia się nieznany dotąd typ handlarza-szmuglera. Brakuje cukru i opału. Zamiast cukru pojawia się w sprzedaży sacharyna o słodkim, mdłym smaku. Mieszkańcy Kielc zaglądają nawet do nas. Ale za żywnością udają się przeważnie w sandomierskie. Jednym z pierwszych działań Niemców w naszym rejonie jest zorganizowanie administracji miejskiej i terenowej, posterunków żandarmerii w miastach i gminach, wprowadzenie kartek żywnościowych i wymiana pieniędzy. Po jakimś czasie okupant zamknął wszystkie młyny, które dotąd służyły miejscowej ludności. Wydane zostało również zarządzenie, że nie wolno używać żaren na wsi i należy je zdać u sołtysa lub na posterunku żandarmerii w Dyminach. Padł na nas blady strach. Wiadomości te i inne przynosimy do gajówki ze wsi i z miasta. Przeważnie ja wpadam do miasta na rowerze i przywożę gazety wydawane już przez Niemców. Informacje zawarte w nich są zwykle tendencyjne, kłamliwe, nie oddające faktycznego stanu rzeczy. Zwykle przywoziłem je tylko po to, aby zapoznać się z nowymi zarządzeniami okupanta oraz jako papier pakowy i higieniczny.

Któregoś dnia udaję się do miasta na rowerze. Między innymi sprawami, które mam załatwić, zapoznaję się z nowymi zarządzeniami rozplakatowanymi przez Niemców. Wiele ich jest. Ale jedno z nich najbardziej mnie uderzyło. Nakazuje bowiem mieszkańcom miast i wsi, aby zdali wszystkie radiodbiorniki. Dreszcz przechodzi przeze mnie. A niech to diabli... To i ja będę musiał oddać swój radiodbiornik nie tak dawno nabyty. Jakże ciężko będzie żyć bez niego pod lasem. Jedna, jedyna łączność ze światem zostanie zerwana. Nie będzie już także żadnej rozrywki. Po kilku dniach przychodzi mi jednak do głowy zbawienna myśl. Przypominam sobie, że radiodbiornik lampowy nie jest jeszcze zarejestrowany. Po prostu nie zdążyłem tego zrobić przed wybuchem wojny. Jak to dobrze, że się tak złożyło – pomyślałem. – A zatem nie ma tego złego co by na dobre nie wyszło. Jest więc wyjście. Oddam radio słuchawkowe, a lampowe zostawię sobie. Nic nie mówiąc nikomu postanawiam tak zrobić. Na drugi dzień oświadczam w domu, że jadę na posterunek żandarmerii z radiem. Nie mówię jednak z którym. Nikt o to nie pyta. Żeby wszyscy widzieli w domu, pakuję radiodbiornik lampowy w pudło osobno. Robię również pakunek z radia detektorowego. Z domu wychodzę z obiema paczkami. Najpierw jednak kieruję się do szopy, chowam lampowe. Pakunek ze słuchawkowym zawieszam na rowerze i jadę na posterunek żandarmerii. Otrzymuję pokwitowanie odbioru i wracam do domu. Jeszcze tego dnia radio lampowe instaluję na strychu obory. I potem o określonym czasie znikam z domu na pewien czas w celu wysłuchania wiadomości dziennika w języku polskim, nadawanych z Londynu. Po pewnym czasie dołącza do mnie ojciec.

Po dniach pełnych różnych wydarzeń i nadziei, nastąpiły dni szare, bez żadnych perspektyw na korzystną dla nas zmianę. Zostaliśmy zmuszeni do przystosowania się do nowych warunków życia. Niemcy niezwłocznie wydali zarządzenia o konieczności zdania przez Polaków broni, kożuchów, nart i innych rzeczy. Potem posypały się również inne – dotyczące podatków, wysokości kontyngentów zbóż, ziemniaków, mięsa, mleka, wełny oraz przymusowego wywożenia drzewa z lasu przez posiadających konie, koleczykowania krów itd. Po przejęciu administracji terenowej zaczęły się „nowe porządki” okupanta. Ich prawem stały się siła, terror, przymus, samowola, bezprawie, gwałt, rozbój, arogancja władzy. Pozamykali szkoły, wprowadzili godzinę policyjną trwającą od dwudziestej do

szóstej rano. A zatem o nauce nie było mowy. Niemcom nasza nauka przestała być potrzebna. Dla nas pozostała jedynie ciężka praca. O pracę Niemcy zatroszczyli się prawie natychmiast i to z całą swoją skrupulatnością i zapobiegliwością. Jeśli nie chcesz robić, to czeka cię obóz pracy, koncentracyjny lub kula w łeb. Przydzielają ludziom robotę jak najcięższą, katorżniczą, wyniszczającą organizm.

Pewnego dnia przyszedł do mnie w odwiedzin Janek, szkolny kolega, z którym chodziłem do szóstej klasy, syn właściciela młyna. Porozmawialiśmy trochę o sytuacji w kraju. Janek stwierdził, że aby można było walczyć z okupantem, należałoby utworzyć podziemną organizację wojskową, która pokierowałaby tą walką. Trzeba zorganizować szkolenie wojskowe. Mogliby je prowadzić byli oficerowie i podoficerowie. W naszej okolicy było ich wielu, m.in. kierownik szkoły Pyzik – oficer, Kamiński spod Marzysza – podchorąży, Gajda, brat Janka – Bolek, mój wuj Stanisław – podoficerowie.

– A zatem poszukajmy kontaktów – podsumowuję rozmowę. – Jeśli ty znajdziesz pierwszy, wciągniesz mnie do organizacji, a jeśli ja – to wciągnę ciebie.

Podajemy sobie ręce. Czuję, że od tego momentu jesteśmy sobie bardziej bliscy. Nie bez znaczenia jest fakt, że obaj chodziliśmy do jednej klasy w szkole i spotykaliśmy się na zbiórkach harcerskich. Teraz zaś przyświeca nam bardzo ważny cel.

W pierwszych tygodniach okupacji słowo „walka” nie kojarzy się ludziom z konspiracją. Nie wyobrażają sobie czegoś takiego jak walka z okupantem bez dostatecznej ilości broni, bez stworzenia odpowiednich warunków do tego. Dominuje pogląd, że należy się poddać bieżącym zarządzeniom i cierpliwie czekać dotąd, aż się wyjaśnią wszystkie sprawy. Mimo to już w październiku dowiaduję się od kolegów, że w terenie powstaje jakaś podziemna organizacja polska. Ale nikt w moim środowisku nie wie, jak się ona nazywa. Dopiero po kilku tygodniach jeden z kolegów poinformował mnie, że w kieleckim powstała konspiracyjna „Organizacja Orła Białego”.

Któregoś dnia przybiegł do gajówki goniec od leśniczego Borkowskiego z wiadomością i poleceniem, aby gajowy zgłosił się w Nadleśnictwie Daleszyc.

– Wreszcie zaczyna się coś dziać w leśnictwie – mówi ojciec.

Jesteśmy ciekawi, co też tam ojcu powiedzą. Już na drugi dzień wyrusza do Daleszyc. Po powrocie z nadleśnictwa informuje, że przyjechał przedstawiciel z niemieckiego urzędu lasów państwowych w Kielcach z nakazem, aby wszyscy leśnicy polscy przystąpili natychmiast do pracy. Kto tego nie zrobi zostanie wywieziony do Niemiec na przymusowe roboty. I od tego czasu ojciec rozpoczął ponownie pracę w leśnictwie, tylko że pod zarządkiem okupanta. Ja natomiast i młodszy brat pozostajemy w domu bez pracy zarobkowej i bez nauki w szkole. Jedynie dwie młodsze siostry rozpoczęły naukę w otwartej przez okupanta szkole podstawowej we wsi.

Moim zajęciem pierwszej jesieni okupacyjnej jest praca w obejściu gajówki i w polu. Wykopujemy ziemniaki, zwozimy drewno opałowe. Któregoś dnia matka oświadcza, że kończą się niektóre zapasy żywności. Przede wszystkim zaczyna brakować chleba, cukru i tłuszczu. Ziemniaków i żyta jest trochę. Zebraliśmy z pola. Z ziemniakami właściwie nie ma kłopotu. Trudności są z żytem. Nie można go jeść w stanie surowym. Musi ono być zmielone na mąkę. Jednak wszystkie młyny zostały zamknięte i zaplombowane przez władze okupacyjne, nie ma gdzie zemleć zboża. Nie ma mąki, nie ma chleba. A wiadomo, że kiedy brakuje chleba, to prawie głód w domu. Chodzimy więc ciągle głodni, bo ziemniaki zaspokajają głód tylko na dwie-trzy godziny. Nie dają siły do pracy i życia. Trochę ratuje sytuację mleko od dwóch krów, ale nie daje wiele. Jedynie masło i ser z mleka. Warzywa zaś tego lata się nie udały. Wypaliło je słońce.

– Mamo, mam pomysł na chleb – mówię pewnego dnia. – Może ja z Mietkiem wzięlibyśmy trochę żyta i poszlibyśmy do wsi zemleć go w żarnach. Wiem, że we wsi nie wszyscy zdali żarna. Pochowali je i teraz mieli w nich nocami.

Nazajutrz wieczorem, zarzuciwszy sobie na plecy woreczek z suchym ziarnem, idziemy do wsi robić mąkę. Znajomy gospodarz prowadzi nas do komórki w stodole, w której znajdują się żarna. Zabieramy się do nigdy nie wykonywanej dotychczas roboty. Na początku jest trudno, brak wprawy, ale po jakimś czasie mąka, szczypta po szczypcie sypie się i wpada do brytfanny. W ustach czuję już smak chleba. Widzę uśmiech na ustach brata. Dwie godziny i ziarno jest zmielone. Późno w nocy, dumni przekraczamy próg domu. Matka i siostry czekają na nas. Oglądają owoc naszego trudu. Cieszą się, że już jutro ma być z tej mąki upragniony chleb.

Od tego dnia przez wiele tygodni matka suszy na piecu ziarno żyta, a ja z bratem chodzimy do wsi co drugi dzień mleć mąkę w żarnach. Zamiast odpoczywać wieczorem po robocie w obejściu, w polu, w lesie, chodzimy do wsi i tam gimnastykujemy się jeszcze nad żarnami. Praca ta jest jednak zbyt męcząca jak na młode organizmy. Dlatego z biegiem czasu tracimy chęć do takiego heroicznego wysiłku. I wtedy przychodzi mi do głowy pomysł skonstruowania młynka w naszym domu. Kamienie do ucierania ziarna załatwił ojciec od znajomego ze wsi, a ja w mieście kupiłem niezbędne elementy konstrukcji, w tym łożyska. Ma to wyglądać jak zabawka dziecięca spełniająca założone funkcje. Młynek wielkości metr na metr ma się mieścić w niedużej komórce szopy. Upływają dni mego

majsterkowania. Konstrukcja młynka nabiera odpowiednich kształtów i cech. I tak przez dwa tygodnie siedzę w szopie od świtu do późnej nocy nawet przy lampie naftowej. Trzeciego tygodnia „młyn” staje w całej okazałości.

Działa bez zarzutu. Nie wierzę własnym oczom, że coś takiego zrobiłem. Nawet ojciec, który odnosił się z rezerwą do tego co robię, kiwa głową i gratuluje. Wiele radości, gdyż być może skończą się kłopoty i udręka z produkcją tak potrzebnej mąki do wypieku chleba.

– Żeby tylko teraz nie nakryli nas Niemcy – rzecze matka wychodząc z szopy. – Musicie to teraz dobrze maskować. Nakrywać to tymi szmatami – wskazuje na leżące obok duże szmaty. Od tego momentu nie ma problemu z mąką i przygotowywaniem chleba. O tym, że mamy taki młynek nie informujemy nikogo. Mielemy żyto lub pszenicę tylko wieczorami, kiedy w zasadzie nikt nie przychodzi do gajówki. Pies uwiązany na łańcuchu połączonym z długim drutem przeciągniętym od stodoły do stajni, daje znać czy ktoś obcy zbliża się do nas.

Początek listopada. Ojciec dostaje wezwanie na posterunek żandarmerii. Domyśla się o co im chodzi. Staje przed komendantem posterunku w mundurze leśnika. Uważa, że tak będzie lepiej. Żandarm podnosi się zza biurka i podaje mu rękę, ale nie każe siadać. Coś mówi do ojca. Ojciec nie zna niemieckiego, ale siedzący obok cywil tłumaczy o co chodzi.

– Pan komendant pyta, dlaczego pan nie zdał do tej pory dubeltówki, kiedy był nakaz zdawania. Była przecież zarejestrowana.

– Oddałem.

– Komu pan oddał i gdzie?

– Żołnierzom polskim, kiedy wycofywali się na wschód we wrześniu pod naporem waszych wojsk. Szli oni przez las i zatrzymali się w gajówce na kilka godzin. Dubeltówka stała w pokoju przy szafie, w kącie. Zapomniałem jej schować. Kto tam wtedy myślał o dubeltówce. I właśnie jeden z żołnierzy zobaczył ją. Wziął do ręki, obejrzał, widać było, że mu się podoba. A potem zabrał mi ją. Co miałem zrobić? Oni mieli broń, byli uzbrojeni, ja bezbronny.

Cywil przetłumaczył, a żandarm wrzasnął na całe gardło:

– Spytaj go, czy ma jakieś zaświadczenie, że zabrali mu żołnierze tę broń.

– Prosiłem ich, żeby mi dali jakiś papierek, jakiś dowód, że mi zabierają tę dubeltówkę. Ale oni wysmiali mnie – mówi ojciec. – Wojna – powiedzieli, a na wojnie nie daje się żadnych świstków. Teraz wszystko jest dla wojska.

Cywil przetłumaczył, a żandarm coś jeszcze mruczał. W końcu zapisał coś w papierach i wskazał ojcu drzwi. Po powrocie do domu nie mógł przyjść do siebie. Był zdenerwowany. Pierwszy raz bowiem miał do czynienia z taką władzą niemiecką.

– Myślałem, że będzie gorzej – rzecze. – Ale tak składnie opowiadało mi się o zabraniu dubeltówki przez nasze wojsko, że żandarm uwierzył w to i puścił mnie wolno. Widocznie było to przekonujące. Zaryzykowałem i udało się. Możliwe, że jednak szanują mundur leśnika.

A potem ojciec odzywa się do mnie:

– Adam, weź tę dubeltówkę i dobrze ją nawazelinuj. Zrób z desek dębowych pudło, wsyp do niego plew, owiń dubeltówkę w naoliwione szmaty oraz w ceratę i włóż do środka. I zakop to pudło w suchym miejscu.

Gdzie może być suche miejsce? Jedynie w zapolu stodoły. Zdejmuję łopatą próchnicę, wykopuję podłużny rowek na głębokość łopaty, wkładam paczkę i przykrywam ją próchnicą wyrównując miejsce. Czy się kiedyś do czegoś przyda?

Pierwsze miesiące okupacyjne wpływają mi w gajówce na pracy w obejściu, w polu i korzystaniu z lasu. Mimo niespełna piętnastu lat myślę już o jakiejś działalności konspiracyjnej. Ale mimo upływu kilku miesięcy od początku wojny, nic się właściwie nie dzieje w terenie. Nikt nic nie robi konkretnego w tym zakresie. Przynajmniej ja o tym nie wiem. Za to dowiedziałem się przypadkowo od kogoś z miasta, że działają już tam tak zwane tajne komplety. Nie widzę jednak w swoim zasięgu kogoś, kto by mnie skontaktował z tymi „kompletami”. Któregoś dnia jednak spotykam przy rzece młynarzewego Janka idącego w kierunku domu po południu.

– Jak to dobrze, że cię spotykam. Widzę, że chodzisz często blisko gajówki, a nie wstępujesz do kolegi. Dawno nie rozmawialiśmy.

– Bo nie mam teraz czasu – mówi Janek.

– Dlaczego, jeśli to nie jest tajemnicą?

– Jest to tajemnica, ale nie wobec ciebie.

Siadamy na wysokim brzegu rzeki. Pod naszymi nogami szumi i kotłuje się wzburzona woda.

– Słuchaj Janek, słyszałem, że w mieście działają już jakieś kursy gimnazjalne, prowadzone bez zezwolenia władz niemieckich, w których można byłoby się uczyć. Czy wiesz coś o tym?

– A jakże, wiem. Nawet teraz idę stamtąd. Chodzę na takie kursy. Nazywamy je tajnymi kompletami. Już kilka razy byłem na takich lekcjach. Ojciec zapisał mnie po znajomości. Tylko to jest najgorsze, że kosztują, gdyż nauczyciele muszą z czegoś żyć i ryzykują głową.

– Aaa, to teraz już wiem, gdzie chodzisz i skąd wracasz. Kilka razy widział cię ktoś z mojej rodziny. Dziwiło mnie to, że stale idziesz w tym samym kierunku i wracasz tą samą drogą. Ale nie przyszło mi na myśl, że chodzisz do szkoły. I do tego nie przez Bukówkę, tylko przez Mójczę.

– Bo ta moja szkoła znajduje się w Zagórzcu, na przedmieściu. A skoro w Zagórzcu, to mam najbliższ brzegiem lasu nad rzeką Zubrzanką, przez Mójczę. Pięć kilometrów drogi codziennie w jedną stronę.

– Szkoda, że nie powiedziałeś mi o tym, to może obaj byśmy chodzili na te tajne komplety. Taki z ciebie kolega...

– Kolega, kolega... Nie wolno mi mówić o tym nikomu, ani nikogo przyprowadzać ze sobą. Kursy gimnazjalne zostały zorganizowane w ścisłej tajemnicy dla określonego grona ludzi, na razie na próbę. Mój ojciec dowiedział się o tym od swych znajomych z miasta. Gdyby się Niemcy dowiedzieli o tym, to by nas aresztowali, albo wywieźli do obozu koncentracyjnego. Ale ciebie mógłbym polecić, bo mam do ciebie zaufanie i jesteś moim kolegą.

Spoglądam na kolegę radośnie. Przez chwilę jestem oszołomiony tym, że stanęła przede mną wizja nauki. Przed wojną nie mogłem się dostać do gimnazjum, gdyż jestem nisko urodzony i nie miałem protekcji oraz pieniędzy. To może wreszcie teraz? Jestem wdzięczny koledze za tę wiadomość i że w jego oczach jestem wiarygodnym kandydatem na takie nauczanie.

– A wiesz, ile trzeba byłoby płacić miesięcznie za taką naukę? – pytam nieśmiało po chwili, kiedy oszołomienie odeszło.

– Jak mi wiadomo, to chyba z pięćset złotych. Ja nie płacę, tylko ojciec, więc nie wiem dokładnie. Mogę go zapytać. Mnie tylko ojciec kazał się uczyć. O reszcie myśli on.

Wymieniona przez kolegę suma poraża mnie. Ogarnia mnie zwątpienie. W głowie powstaje pustka. Zdaję sobie sprawę z tego, że i tym razem będą z mej nauki nici.

– To dużo żądają za takie nauczanie. Ojciec mój nie otrzymuje nawet tego miesięcznie na utrzymanie całej rodziny. Niedawno zaczął pracę w leśnictwie pod przymusem. Znowu został gajowym w lasach państwowych. A w leśnictwie nawet przed wojną za sanacji nie płacili wiele. Co innego było i chyba jest u ciebie. Młyn na was pracował.

– W mieście słyszałem już coś o zawiązywaniu się organizacji podziemnej, więc musimy czekać, aż się coś ruszy. A ty porozmawiaj z rodzicami, może coś wymyślicie – rzecze kolega i żegna się ze mną.

Tego samego dnia wieczorem po kolacji mówię do rodziców:

– Tato, mam, mógłbym chodzić do szkoły średniej? Na tajne komplety gimnazjalne w Kielcach... Janek Mikoda chodzi.

– A ile trzeba płacić?

– Podobno około pięćset miesięcznie.

– A niech to diabli... I znowu chodzi tutaj o duże pieniądze. Niestety, w mojej pracy jeszcze się nic nie wyjaśniło jak będzie. Zatrudnili mnie tymczasowo, bo podobno na gajowych mają dać Niemców. Czy w takiej sytuacji, można myśleć o nauce? Zastanów się synu nad tym. Teraz trzeba myśleć tylko o przeżyciu, przetrwaniu.

Po takim przemówieniu moja nadzieja na naukę znowu prysła. Pozostają nadal ze swoimi myślami. W zasadzie przyznaję ojcu rację. Tym bardziej, że nigdy nie był taki elokwentny i logiczny. A zatem moją jedyną rozrywką i zarazem sposobem, by nie wrócić do analfabetyzmu, są książki, których zresztą brakuje. Niemcy zlikwidowali wszystkie polskie biblioteki, aby nas cofnąć w rozwoju.

Na jesieni pierwszego roku okupacji pojawili się w naszym rejonie partyzanci dowodzeni przez majora Dobrzańskiego „Hubala”. To coś nowego. Mimo klęski armii polskiej Dobrzański zebrawszy resztki swojego oddziału kawalerii doszedł z Puszczy Augustowskiej do lasów Kielecczyzny. Tu decyduje się dalej walczyć. Ludność wiosek go wspiera. Oddział rozrasta się liczebnie, uzupełnia broń, prowadzi ćwiczenia wojskowe. Niemcy wielokrotnie organizują oblavy na ten oddział, ale major „Hubal” ciągle im się wymyka ze swoimi ludźmi. Kiedy jest wśród nas, wydaje się nam, że nie jesteśmy osamotnieni, gdyż mamy swojego obrońcę przed okupantem. Ludzie więc zwracają się do niego, kiedy hitlerowcy wyrządzają im krzywdę, a on wymierza sprawiedliwość. Niektórzy nawet uważają go za „bicz boży”, który poskramia Niemców.

Jakby na zew hubalczyków Władysław Jasiński ps. „Jędrus” przystępuje do tworzenia w Kieleckiem organizacji podziemnej „Odwet”, grupując wokół siebie przeważnie młodzież harcerską i gimnazjalną. Wojna przedłuża się. Nie widać jej końca. Panuje ogólne przygnębienie. Jesteśmy bezradni wobec wroga uzbrojonego po zęby. Słysząc o rozstrzeliwaniu rodaków. Zmora okupacji i prześladowań panuje w naszych umysłach. Coś się zaczyna ruszać w kraju, ale nic konkretnego nie wiadomo. Wszystko na razie jest odkryte jakby nimbem tajemniczości. Jeden drugiemu nie wierzy, gdyż zdarzają się donosy. Z czasem jednak pokazują się ludzie, którzy zaczynają mobilizować i jednoczyć społeczeństwo do masowego, wspólnego działania.

Nadchodzi pierwsza okupacyjna zima. Niepogoda coraz częściej daje się we znaki. Będąc w mieście i przechodząc koło księgarni, spostrzegam w witrynie książeczkę, która mnie niezmiernie interesuje, gdyż jej tytuł brzmi „nemonika czyli mnemotechnika” – „Nauka kształcenia pamięci”. O rety, to coś dla

mnie! — myślę. Cóż za frajda. Kupuję tę książeczkę. W domu studiuję ją. Są w niej ciekawe rzeczy — sposoby kształcenia pamięci i nauki języków obcych. Przyda się do jednego i drugiego. Mam na uwadze to, że szybciej nauczę się języka niemieckiego w sposób podany w książeczce. Może mi się to przydać w razie jakiś styczności z Niemcami. Podobno oni odnoszą się przychylniej do tych, którzy znają ich język. Uczę się więc według wskazówek z książeczki. Metoda skuteczna. Mając teraz więcej czasu wziąłem się również za stolarkę. Robię ule z nadstawkami według wzoru znanego pszczelarza Brzóska. Pracuję w przygotowanym przez siebie warsztacie stolarskim w jednej z izb gajówki, bo w szopie nie da rady już wytrzymać z powodu mrozu.

Zbliżają się święta Bożego Narodzenia. Mróz ściął wszystko wokół. Słychać, jak ludzie dudnią swymi butami lub drewniakami po zmarzniętej ziemi. Na kilka dni przed świętami pada gęsty śnieg, pierwszy tej wojny. Robi się białe, czyste i widniej wszędzie. Nawet w nocy jest teraz jaśniej. Nastrój świąteczny udziela się wszystkim, ale nie jest on już taki jak dawniej. Wszystkiego brakuje. Jedyne wódki jest pod dostatkiem. Można ją kupić w sklepie i w knajpie. Niemcy dają nawet wódkę za plody rolne rolnikom. W mieście pojawia się sól i nafta, ale po spekulacyjnych cenach. Jak tu żyć? Żeby matce pomóc, ojciec wykorzystuje swoje znajomości wśród chłopów okolicznych wsi, którzy przyjeżdżają do lasu po drzewo. Czasami dostaje od nich jabłka i orzechy. Zdarza się, że przynosi miód w butelkach. Nawet przywożą ojcu kielbasę wiejską.

Doszły do nas słuchy, że na Zachodzie organizuje się armia polska pod dowództwem generała Władysława Sikorskiego. Wielu pokłada w nim nadzieję. W tym też czasie dowiadujemy się o narastaniu konfliktu pomiędzy Finlandią i Związkiem Radzieckim. Radio przynosi komunikaty o zajściach granicznych między żołnierzami obu tych państw. Niektórzy mówią, że Niemcy popierają Finlandię. Dziwią się również, że takie małe państwo podskakuje takiemu wielkiemu.

I oto wigilia. Ojciec wychodzi z domu wcześniej. Wracając z obchodu ściął wybraną choinkę w lesie i wnosi ją do domu. Otaczamy ją wszyscy naokoło, oglądamy, macamy igielki wyrażając swą radość. Siostrzyczki wzięły się za ubieranie choinki. Zakładają kolorowe łańcuchy, szyszki malowane na kolor złoty i srebrny, świecidelka z poprzednich lat. Wiszą również małe, czerwone jabłuszka zdobyte przez ojca, a także ciastka upieczone z mąki uzyskanej ze zmielonej pszenicy. Brakuje tylko cukierków, których nie można było dostać.

Kolacja wigilijna. Wszyscy ogarnięci nieco, siadamy do stołu. Matka bierze do ręki opłatki i podchodzi do ojca. Łamią się opłatkiem i życzą sobie wszystkiego najlepszego. A potem łamie się z dziećmi po kolei według wieku. Życzy nam wszystkiego najlepszego i przetrwania wojny, żeby nikogo z rodziny nie zabrakło aż do jej końca. Łzy płyną matce z oczu. Końcem fartucha ociera oczy. Opanowuje się i daje znak do wieczerzy. A potem spożywamy kolację i przyglądamy się choince. Od czasu do czasu ktoś rzuca jakieś zdanie, ale rozmowa się nie klei. Brak odpowiedniego nastroju, jak to było dawniej w czasie takiej uroczystej chwili. Jedyne mała Halinka nie zdaje sobie sprawy z tego co jest, w jakiej znajdujemy się sytuacji. Podskakuje koło stołu i nuci coś pod nosem. Wieczerza zbliża się ku końcowi. W pewnej jednak chwili Halinka przynosi skrzypce, staje przede mną i mówi, żebym zagrał kolędę. Następuje pewne ożywienie. Pociągam smyczkiem po strunach. Znana wszystkim kolęda „Bóg się rodzi...” wydobywa się ze strun. Dzieła na wszystkich. I jakby na komendę cała rodzina wybucha śpiewem. Ale jest on jakiś taki dziwny, podobny raczej do płaczu niż do naturalnego śpiewu. Kończymy jedną kolędę, zaczynamy drugą przy akompaniamencie moich skrzypiec. Świeczki skróciły się do połowy. Dla oszczędności matka zapala lampę naftową...

Następnego dnia około dziesiątej, kiedy wszyscy wydobyli się z pościeli i nagrzało się w domu, siadamy do śniadania. Nikt jednak nie zwrócił uwagi na to, że starsza siostra Krysia pozostała w łóżku. Zwykle wstawała wcześniej niż inni. Napracowała się przed świętami, to niech sobie poleży — myślę. Ale matka zainteresowała się córką na dobre. Podchodzi do jej łóżka, nachyla się nad nią i uchyla nieco pościeli. Ciepło bije od niej, jak od pieca.

— Czemu nie wstajesz? — pyta matka.

— Kiedy jakoś nie mogę. Jestem taka słaba, jak nigdy, jak chora. Próbowalam już się podnieść, ale nie mogę. W głowie mi się kręci. Jest mi gorąco.

Matka przykłada jej rękę do czoła. Po chwili mówi:

— Krysia jest bardzo rozpalona. Pewnie ma gorączkę.

Termometr wskazuje trzydzieści dziewięć i pół stopnia... Wiadomość o chorobie Krysi poraża nas wszystkich. Lekarz w mieście. Siedem kilometrów drogi do Kielc. Wobec tego nie ma co medytować, tylko trzeba jechać, bo ona jest ciężko chora. Jedziemy więc z ojcem po lekarza saniami zaprzężonymi w konie. Po przyjeździe do gajówki i zbadaniu siostry lekarz oznajmia — obustronne zapalenie płuc. Jeśli chora przetrzyma dzisiejszą noc po pobraniu leków, będzie żyła. Potrzebne są jednak jak najszybciej leki. Znowu trzeba jechać do miasta. Ojciec wsiada z lekarzem do sań i razem znikają za zakrętem. Jest już po południu, gdy ponownie słyszymy dzwonek sań na podwórku. Krysia przyjmuje leki i już po kilku godzinach temperatura spada. Drugą dawkę ma otrzymać późnym wieczorem. Rano sprawdzamy czy żyje. Oddycha. Zapada w głęboki sen. Śpi przez cały następny dzień. Mijają święta,

a ona żyje. Ogólna ulga. Mijają godziny napięcia. Oddech chorej staje się równiejszy, głębszy, bardziej miarowy. Wreszcie po tygodniu temperatura opadła na tyle, że już nie ma obawy o jej życie. Ale z dwunastoletniej dziewczynki zrobiło się dziecko. Mimo przyjmowania pokarmów w postaci kleików, wychudła i jest blada. Trudno ją poznać. Szkielec, a nie człowiek. Ale powoli przychodzi do siebie. Robi się żywsza. Po dwóch tygodniach jej leżenia w łóżku przywieziony lekarz zdecydował, że może chodzić.

Nowy rok 1940 nastął bez radości. W styczniu zapanowała tęga zima, jakiej dawno nie było – śnieżna i mroźna. Mijają dni w udręce. 14 stycznia są moje urodziny. Kończę piętnaście lat. O tym pamięta tylko matka, składa mi więc z tej okazji życzenia. Usłyszawszy to rodzeństwo rzuca się na mnie z życzeniami.

Któregoś marcowego dnia zjawia się w gajówce major Dobrzański z kilkunastoma żołnierzami na koniach. Ujrawszy ich mam wrażenie, że nadeszła wolność. Sen to czy jawa? Mamy więc Wojsko Polskie. Ubiór jak przed wojną. O mało serce mi nie wyskoczy z piersi na jego widok. Jednak goście w rogatywkach nie wprowadzili koni na podwórko gajówki, tylko zostawili je w przylegającym do niej zagajniku. Zachowują ostrożność. „Hubal” prosi o siano. Idę do stodoły z dwoma żołnierzami, bierzemy pełne naręcza siana i niesimy je koniom do zagajnika. Dowiadujemy się zaraz, że postanowili urządzić u nas popas i odpocząć po uciążliwym marszu. Matka gotuje ziemniaki i czerwony barszcz, kroi razowy chleb. Przybysze pocieszają nas, że niebawem przyjdzie wolność z Zachodu. Patrzymy na nich jak na prawdziwych wyzwolicieli, wybawicieli. Niestety, radość trwa tylko kilka godzin. Odpocząwszy i zasięgnąwszy języka oraz posiliwszy się, wyruszyli w dalszą drogę. Od jednego z żołnierzy dostaję na pożegnanie tekst piosenki o Hubalczykach.

W końcu maja otrzymuję pismo z Arbeitsamtu, że 6 czerwca mam się stawić w Kielcach w celu załatwienia formalności związanych z wyjazdem do Niemiec na roboty. Mam się też zgłosić w tym terminie na komisję lekarską. A to dranie! Ledwo minęło piętnaście lat i już mnie mają. Pod względem ewidencji ludności są niezawodni. Nie popuszczają nikomu. Przez kilka dni panuje w domu rozpacz. W oznaczonym czasie jadę do Kielc i staję przed komisją. Ponieważ mam bliznę w lewym uchu, udaję że jestem głuchy na to ucho. Powiodło się – zostaję zwolniony z wyjazdu do Niemiec. Jednak nakazano mi podjąć jakąś pracę, gdyż moje zajęcia w gospodarstwie nie liczą się w Urzędzie Zatrudnienia. Wracam do domu zadowolony z takiego obrotu sprawy.

Dowiadujemy się, że nasz major „Hubal” – dowódca oddziału pierwszych partyzantów zginął w kwietniu 1940 roku w potyczce z Niemcami pod Anielinem. Hubalczyki mimo to działają jeszcze około dwóch miesięcy. Oddział rozwiązał się 25 czerwca 1940 roku. Została hubalowa legenda i piosenka partyzancka:

Hej partyzanci majora Hubali,
Idziemy dziś na krwawy z Niemcem bój.
Pragnienie zemsty serca nasze pali,
A przeciw nam bombowców wroga rój.
Za gruzy naszych miast,
Za braci naszych krew, szarpiemy wrogów ciała.
Niech zniknie szwabski chwast,
Odpowie na nasz zew powstając Polska cała.

Od tego czasu staje się w Górach Świętokrzyskich cicho, głucho i pusto. Przedtem bowiem „Hubala” było wszędzie pełno. Czujemy się teraz osamotnieni i jakby całkowicie obezwładnieni przez okupanta. Płynęły ostatecznie wszelkie nadzieje dotyczące przeciwstawienia się Niemcom.

Do tej pory wszystkie prawie informacje i wiadomości ze świata czerpaliśmy z naszego radia. Niestety pod koniec maja wyładowała się całkowicie druga bateria. Tym razem już nie dostałem następnej. W tydzień później zawitał do gajówki syn wuja z miasta Włodek Otawski. Matka przygotowuje jajecznicę, kroi chleb i zaprasza do stołu.

– Ale macie smaczny chleb. Dawno takiego nie jadłem – odzywa się gość.

– W mieście macie chyba lepszy. Zawsze był tam dobry.

– Był, ale nie jest. Może trochę bielszy, ale nie lepszy. Dostajemy teraz chleb na kartki, które okupanci wprowadzili już na początku roku. A ten, który otrzymujemy to kwaśny, gliniasty, zakalcowaty. W mieście teraz ludzie mają straszną biedę, prawie głodujemy. Brakuje wszystkiego – pieniędzy i środków żywnościowych.

Matka z początku nie może uwierzyć tym słowom. Dla niej miasto było zawsze symbolem dostatniego życia. Nie myśli o tym, że w mieście jest dobrze wtedy, kiedy i na wsi jest dobrze, bo przecież nikt inny, tylko wieś zaopatruje miasto w środki spożywcze. Włodek tymczasem wyjmuje z torby materiał na wyroby dziewiarskie i mydło z przeznaczeniem na sprzedaż. Chce znaleźć na to kupca na wsi i zdobyć coś z produktów żywnościowych.

– Prosiłbym was, abyście mi pomogli załatwić tę sprawę, bo w domu zaczynamy głodować – zwraca się do mamy. – Ja, tu nie wiem nawet jak się należy zachować, poruszać. Aby przeżyć, musiałem się

chwycić nawet za jakiś handel, bo nie ma innego wyjścia. Pracy jeszcze nie znalazłem, bo jestem świeżo upieczonym maturzystą.

– To zanocuj u nas dzisiaj. Po południu Adam pójdzie z tobą do wsi, to może prehandlujecie to co przyniosłeś. Tylko mydło zostawisz mnie, bo nie mamy. Zapłacę ci.

Idziemy do wsi do znajomych mi ludzi. Chodzimy od domu do domu. I o dziwo Włodek wszystko sprzedaje lub zamienia na produkty żywnościowe. Jest już wieczór, kiedy wracamy do gajówki przez pola z plecakiem wypchanym jajkami, mąką, masłem i serem. Włodek jest zadowolony z siebie, że potrafi załatwić takie trudne, jak mu się wydawało przedtem, zadanie. Dziękuje mi za wyświadczoną mu przysługę. Potykając się na nierównościach terenu docieramy do gajówki. Ojciec też wrócił z lasu. Wieczorem siadamy do kolacji, a potem przy lampie naftowej Włodek opowiada nam różne ciekawostki, jakie się działy w mieście po wkroczeniu wojsk niemieckich oraz wymienia zarządzenia, nakazy i zakazy, jakie Niemcy zdążyli już wydać przez ostatnie pół roku. Dowiadujemy się, że w styczniu wyszło zarządzenie, że Żydom nie wolno przebywać w teatrze, kinie, restauracji, jeździć tramwajami, autobusami, koleją, dorożkami, wozami i saniami. Natomiast w mieście powstanie getto żydowskie, w którym tylko będzie wolno im przebywać. Ponadto zobowiązani są zdać wszystkie wyroby futrzarskie, jakie posiadają. Za niewykonanie tych zarządzeń grozi kara śmierci przez rozstrzelanie. Włodek podkreśla, że Polacy niewiele więcej będą mieli swobody od Żydów. Słucham go z zainteresowaniem i zazdroszczę mu wiedzy i obycia miejskiego. Jest już późny wieczór, kiedy kładziemy się do snu.

Nad ranem o umówionej porze budzi matka Włodka i mnie. Bez śniadania, objuczony plecakiem i z torbą w ręku odprowadzam go do kładki na rzecę, a potem do młyna na Lubrzance. Idziemy na skrót. Ma dojść do Mójczy, a stamtąd do skraju miasta. Chodzi o to, aby wszedł do niego drugorzędną ulicą, gdzie nie kontrolują żandarmi niemiecy.

Koniec maja 1940 roku. Przyjeżdża do mnie na rowerze Bolek Mikoda i ze łzami w oczach informuje, że Janek nie żyje. Lekarz mówi, że zmarł na zapalenie opon mózgowych. We wtorek pogrzeb. Wiadomość ta spada na mnie jak grom z jasnego nieba. A przecież w lutym zjeżdżaliśmy obaj na nartach z Góry Mójcekiej. Czuję się wtedy znakomicie. A potem w marcu obiecywaaliśmy sobie, że wstąpimy do jakiejś organizacji podziemnej i podejmiemy walkę z Niemcami o wyzwolenie Polski spod okupacji. Był prawdziwym patriotą polskim. Pragnął wstąpić do ruchu oporu... Spodziewał się, że tej wiosny już znajdziemy się w organizacji podziemnej. Na nic wszystko. Nie doczekał tego... We wtorek uczestniczę w pogrzebie mojego najbliższego kolegi. Tę śmierć przeżywam wyjątkowo boleśnie. Niosę przez jakiś czas razem z innymi jego trumnę. Długo nie mogę sobie znaleźć miejsca. Wydaje mi się, że odszedł na zawsze mój brat, ponieważ mieliśmy ze sobą wiele wspólnego.

Coś się wreszcie zaczyna dziać. I oto nowy dla mnie dzień. Mam się bowiem przeistoczyć w robotnika leśnego. Mam z tego powodu dziwne uczucie. Chyba dlatego, że przecież jeszcze jestem młokosem. Dorosłym i niedorosłym. Dorosłym chyba w świetle prawa niemieckiego, gdyż szesnastolatki mają już pracować. Pracować, a nie obijać się w domu. A zatem idę dzisiaj z ojcem na zrąb. Dostają przydział do dwóch robotników – Bolka i Wojtka. Ja mam być trzeci. Ojciec instruuje mnie co i jak, bo od dzisiaj będzie też moim szefem. I tak oto zostaję dzisiaj pasowany na robotnika leśnego. Czy podołam? Ja – smarkaty, gówniarz jeszcze, z dwudziestokilkuletnimi... To się jeszcze okaże. Oni podobno mają praktykę w obalaniu drzew, a ja wiele rzeczy znam z teorii, z książek. Przystudiowałem już „Przewodnik gajowego” i „Podręcznik leśniczego”. Ja mam siedem klas szkoły powszechnej, a oni podobno tylko po cztery klasy. Ale czy tu będzie się można licytować?

Z początku tylko stoję i patrzę jak oni rzną piłą, rąbią siekierą i jak drzewa padają. Już to widziałem nieraz. Rznąłem piłą setki razy i tysiące razy rąbałem siekierą w gajówce, bo taka była potrzeba. Była już od ośmiu lat, a więc takim żółtodziobem nie jestem. Ułomkiem też nie jestem. Jakoś to będzie. Pierwszego dnia oni piłują klęcząc, a ja długą tyką pcham stojące drzewo we wskazanym przez nich kierunku. Napieram na nie, żeby im było lżej piłować, żeby piła nie zacięła się, nie zakleszczała. I tak do wieczora.

Następnego dnia znowu spotykamy się na zrębie. Ja biorę siekierę. Wspólnicy również. Widać leżące drzewa, jakby burza je powaliła. Naszym zadaniem jest dziś obcięcie gałęzi z drzew i złożenie ich w duże kopy. Zaraz przychodzi nasz szef gajowy, a mój ojciec i dziś udziela mi wskazówek co i jak mam robić.

– Niech się pan nie martwi, panie gajowy – odzywa się Wojtek. – My mu wszystko pokażemy i wyjaśnimy. A zresztą niech robi tak wszystko jak my to będzie dobrze. Ma oczy. Pojętny chłopak.

Wieczorem po powrocie do domu i umyciu rąk, zmordowany siadam na krześle, żeby coś zjeść. Nagle jakaś wielka senność napada mnie z góry. Jem i mocuję się z nią. Z zamkniętymi oczyma przytrzymując się sprzętów domowych dowlekam się do łóżka. Mocuję się z kocem, żeby się przykryć. Zасыpiam natychmiast. I tak po okresie próbnym piłowaliśmy i kładliśmy każdego dnia tyle drew, aby starczało na cały dzień do obróbki. Przygotowujemy długie kloce do odbiórki przez leśniczego. Z upływem czasu skóra dłoni przeszła garbunek. Ręce przyzwyczyły się do takiej pracy. Stają się doświadczo-

nym drwalem. Zaczynam zarabiać. Niewiele, ale coś już jest. Dostajemy od niemieckiej służby leśnej prowiant w postaci marmolady z buraków i śliwek, margaryny, sucharów i cukru. Zarobek ojca i mój dają szansę przetrwania. Już nie jesteśmy tak głodni, jak w pierwszych miesiącach okupacji niemieckiej.

Tymczasem w zakresie ruchu oporu dochodzą do nas różne wiadomości. Już pod koniec jesieni 1939 roku organizuje się pierwsza organizacja konspiracyjna przeciwko Niemcom o nazwie „Organizacja Orła Białego”, pod kierownictwem majora Józefa Kowalówki ps. „Nit”. Po wkroczeniu hitlerowców do Kielc wzięto zakładników, których w niedługim czasie rozstrzelano. W niedługim czasie ginie prezydent miasta Stefan Artwiński. Staje się oczywiste, że celem Niemców jest wyniszczenie Polaków. Stąd zaczyna się na dobre organizować rzeczywisty ruch oporu, na śmierć i życie. „V kolumna”, o której słyhać było już przed wojną w kraju, teraz pojawia się w całej okolicy. Wielu przedstawicieli mniejszości niemieckiej przystępuje do działania, wskazując władzom okupacyjnym patriotów polskich, znanych działaczy różnych organizacji. Konspiratorzy kieleccy wysledzili, że niejaki Wittke – były znany działacz społeczny i polityczny na Kielecczyźnie jest teraz denuncjatorem. Udając przed wojną wielkiego polskiego patriotę, znał wielu Polaków, w tym wojskowych. Mnożą się więc częste aresztowania w Kielcach i na peryferiach. Już na przełomie lat 1939/40 Niemcy szukają byłych wojskowych, nawet takich, którzy już dawno są na emeryturze. Za aresztowaniami idą egzekucje w lesie koło Dymina, na Wiśniówce, w lesie na stadionie i w lesie na Papierni za Sukowem. Z biegiem czasu liczba egzekucji wzrasta. I tak dochodzi do nas wiadomość, że w dniach 12-15 lutego Gestapo radomskie zamordowało w Skarżysku około 500 osób. Następnie dowiadujemy się, że 29 czerwca 1940 roku koło Skarżyska w pobliżu koryta rzeki Kamiennej Niemcy rozstrzelali 700 mieszkańców Kielc i różnych miejscowości województwa kieleckiego. Jak ludzie mówią, jest to największa zbiorowa egzekucja ludności cywilnej na Kielecczyźnie. Nad Kamienną zginęli oficerowie, kolejarze, urzędnicy, inteligenci, działacze związkowi, robotnicy, duchowni, harcerze, ojcowie, mężowie, synowie. Okazuje się, że opętające morderstwa, bestialstwa i gwałty stają się rzemiosłem specjalnych faszystowskich służb specjalnych – SS i SD. Pomaga im w tym wspomniana „V kolumna”.

Którejś nocy budzi mnie kołatanie do drzwi. Otwieram drzwi od kuchni i od sieni. To ojciec. Ale tym razem nie przyszedł sam. Przybysz wita się ze mną. Jesteśmy anonimowi. Tylko ojciec chyba wie kogo przyprowadził. Zapalam lampę naftową. Gościa ojciec prowadzi do jednego z pokojów. Chwila rozmowy, potem matka gotuje mleko i podaje chleb. Jest już późno, więc to tylko namiastka kolacji. Kładę się do snu. Dręczy mnie ciekawość, kogo to ojciec przyprowadził. Jutro się dowiem – myślę. Nazajutrz okazuje się, że gość pozostanie w gajówce do następnej nocy.

Następnego dnia po pracy ojciec rozmawiał z gościem do wieczora. Po kolacji podchodzi do mnie i szepcze mi do ucha – „ubierz się ciepłej, gdzieś pójdziemy.” Nie trzeba mi dwa razy powtarzać. Wychodzimy z gajówki. Jakiś czas poruszamy się brzegiem lasu, a potem wchodzimy w głęboki las i idziemy przesiekami ze dwie godziny. Z początku nie mogę się zorientować dokąd zmierzamy. Potem stwierdzam, że do ojca kolegi – gajowego mieszkającego około piętnaście kilometrów od nas. I oto cel naszego marszu. Siedzimy pół godziny w gajówce. Gościa zostawiamy u gospodarza.

– Kto to był ten człowiek, którego przeprowadzaliśmy? – pytam ojca w drodze powrotnej.

– Co by ci przyszło z tego, gdybym nawet powiedział kto to jest? Mogę ci tylko powiedzieć tyle, że to dość ważna figura w naszej organizacji podziemnej. A resztę dopowiedz sobie sam. Nic ci więcej nie mogę powiedzieć.

Upływa lato 1940 roku, po którym tak wiele sobie obiecywaliśmy. Niestety, nie przyniosło ono pożądanych rozwiązań dla naszej sprawy. Nadchodzi jesień. Dowiaduję się w tym czasie, że istnieje już w naszym rejonie wojskowa organizacja podziemna pod nazwą Związek Walki Zbrojnej. Okazuje się, że powstała ona późną jesienią 1939 roku na bazie istniejącej od końca września organizacji Służba Zwycięstwu Polski. Dowiaduję się również, że Związek Walki Zbrojnej został powołany przez rząd polski przebywający na emigracji z Władysławem Sikorskim na czele. Cieszę się oczywiście z tego, ale się nie zachwykam, gdyż do rządu emigracyjnego mam pretensję o to, że wszyscy zwiali za granicę i teraz siedzą tam sobie spokojnie. Porzucili nas zdając na łaskę losu. Postąpili jak tchórze.

Wielu z moich kolegów wstąpiło do ZWZ. Dowiaduję się o tym od nich podczas naszych spotkań w kościele lub gdzie indziej we wsi, albo nad rzeką. Ciągnie mnie do pracy konspiracyjnej, a jednocześnie waham się. Już otrzymuję gazetki podziemne, jak „Biuletyn Informacyjny”, „Znak”, „Orzeł Biały”, „Odwet”, nie zawsze jednak zgadzam się z ich wywodami. Czytam je przy zasłoniętych oknach i zamkniętych drzwiach, a potem chowam w wybranym schowku, by w razie jakiejś rewizji nie było niczego, co by się nie spodobało żandarmom.

Pod koniec roku 1940 ojciec przynosi do domu coraz częściej jakieś wiadomości o organizującym się ruchu oporu i opowiada mi o tym. Słucham go uważnie i chłonę wszystko w największym napięciu. Dowiaduję się o wielu sprawach, o których nie mam do tej pory pojęcia. Ponieważ ojciec styka się w lesie z wieloma ludźmi z pobliskich wsi, więc czegoś i ja się dowiaduję, ludzie wtajemniczają go w różne sprawy konspiracji. Widzę że uważają go za swojego człowieka. Mieszkamy z dala od osiedli

ludzkich, więc jacyś ludzie dają mu rzeczy na przechowanie w różnych skrytkach, do czego i mnie ojciec angażuje. Później otrzymuje różne zadania do wykonania, którymi dzieli się ze mną, w zależności co to jest. Dotyczy to szczególnie doręczania czegoś komuś lub powiadomienia o czymś ważnym. A zatem działa już jakaś organizacja podziemna, z którą ojciec utrzymuje kontakt – myślę sobie. Tylko dlaczego nie chce powiedzieć co to za organizacja? Kiedy pytam go o to odpowiada, że mu nie wolno mówić nikomu, nawet mnie, nawet matce, gdyż składał przysięgę.

Tajemnicze określenie „Hubal” już przestało istnieć. Teraz pojawiły się takie słowa jak „WZ” i „Jędrusie” jako partyzanci. Ale my ich jeszcze nie widzimy. My zaś młodzi, kiedy czasami spotkamy się gdzieś w kilku, przeważnie o niczym nie rozmawiamy tylko o konspiracji. Jesteśmy pełni zapału i poświęceń. Przyciąga nas niesamowicie konspiracja, jako coś nieznanego dotychczas. Młodych interesuje tylko walka z okupantem. „Bić wroga” to jest ogólne hasło, ogólne żądanie. Uważam, że ojciec dostąpił zaszczytu, że go przyjęli do organizacji podziemnej. Jestem dumny z niego. Zmieniłem przy tym swój stosunek do niego. Dawniej byłem mu niechętny dlatego, że nadużywał alkoholu. Ale z chwilą, kiedy przestał pić po rozpoczęciu się wojny, stał się w moich oczach jakiś taki swój, tajemniczy, przystępny.

– Tato, ja też chciałbym należeć do organizacji podziemnej – mówię mu to któregoś dnia widząc, że jest w dobrym humorze.

– A co ci przyszło do głowy? – pyta.

– A tak sobie. Niedługo będę miał szesnaście lat. Jeszcze trochę i stanę się według prawa dorosły. Chciałbym się więc czegoś nauczyć w konspiracji, by kiedyś, kiedy zajdzie taka potrzeba stanąć w jednym szeregu ze starszymi ode mnie do walki z wrogiem.

– Może dobrze mówisz, ale mnie się wydaje, że jesteś jeszcze za młody do działalności w organizacji podziemnej. Po drugie ja już należę do niej. Należenie do organizacji zobowiązuje i zabiera sporo czasu. Gdybyś jeszcze ty działał, trudno byłoby rodzinie żyć. Bo jeśli by mnie powołali do oddziału partyzanckiego, nie miałby się kto opiekować rodziną. Ty jesteś najstarszy w domu z rodzeństwa, więc na tobie spoczęłaby opieka nad rodziną. Ja muszę iść tam gdzie mnie powołają, gdyż jestem rezerwistą, wojskowym. Mnie po prostu wciągają, powołują do organizacji, bo się znam trochę na wojsku. Ty zaś nie musisz jeszcze być tam, gdzie są starsi. Musisz jeszcze poczekać, aż się wszystko wyjaśni, aż trochę dorośniesz. Według mnie jeszcze zdążysz wziąć udział w walce z Niemcami, bo posiedzą u nas sporo czasu.

Może ma rację – myślę. Być może boi się o mnie, żebym się w coś nie wplątał. Ja mimo to i tak będę szukał kontaktów – postanawiam. Od tej rozmowy nie nalegam już na ojca, żeby mnie przyjęli do organizacji. Postanawiam być cierpliwy. Wychowany w karności i dyscyplinie, może nawet zbyt srogiej, nie śmiem się już mu sprzeciwić. Może nawet tak będzie lepiej, jak mówi ojciec. A może tak trzeba na razie – zastanawiam się.

Mija zima 1941 roku. Pewnego dnia mówię do matki:

– Mamo, drugi rok wojny. Nadchodzi wiosna. Teraz są takie straszne czasy, nie wiadomo jak długo będzie trwała ta wojna, Niemcy buszują wszędzie, nawet po wsiach i okolicy. W każdej chwili mogą wpaść i do gajówki. Partyzanci już się pokazują w terenie. Mamy dużą piwnicę murowaną pod domem. Dom stoi na wzniesieniu blisko rzeki, do której jest ze czterdzieści metrów. Pomyślałem sobie, żebyśmy zrobili z piwnicy tunel... Wychodziłby na wysokiej skarpie rzeki w krzaki, które tam się znajdują. Blisko od tych krzaków do zagajnika. Dzięki takiemu tunelowi cała nasza rodzina mogłaby się uratować w razie śmiertelnego zagrożenia ze strony Niemców, na przykład w razie obławy na partyzantów. A mogliby nawet skorzystać z niego partyzanci, gdyby byli u nas na kwaterze.

– Ale kto by go wykonał – pyta matka.

– Ja, Mietek, ojciec, trochę Krysia.

– I wy moglibyście coś takiego zrobić?

– Wydaje mi się, że moglibyśmy. Mając trochę czasu kopalibyśmy łopatkami po trochę. Trzeba by poświęcić na to każdego dnia co najmniej dwie godziny. Mamy sporo desek. Posłużyłyby one do szalowania wrytego tunelu, żeby się ziemia nie obrywała. Tunel ten nie byłby ani wysoki, ani szeroki. Taki, żeby można było przechodzić przez niego na kolanach, czyli wysoki na metr a szeroki na siedemdziesiąt centymetrów. Przez całą wiosnę mielibyśmy dodatkową robotę. A zatem robimy czy nie?

– Przyjdzie ojciec z roboty, to pogadamy. Ja jestem za tym, żeby coś takiego zrobić. Taki tunel mógłby się bardzo przydać. Będę go namawiała, żeby i on wam pomógł. A ciebie mianuję kierownikiem tej budowy. W razie czego zwracaj się ze wszystkimi sprawami do mnie – mówi matka.

Wieczorem o tym pomysle opowiedziała matka ojcu. Wywiązała się dyskusja. Pomysł wykonania tunelu podoba się ojcu, ale żeby nie brał w tym udziału. Kategoryczne słowa matki jednak pomagają. On musi brać w tym udział. Jest to bowiem w interesie całej rodziny. Ojciec pod naporem matki godzi się pomóc w tej pracy. Potem już prawie codziennie przez całą wiosnę 1941 roku w wolnych chwilach wgryzamy się metr po metrze w ziemię, którą wiadrami i taczkami wynosimy do rzeki i deskami

szalujemy wykop, aby nie nastąpiło tąpnięcie lub osunięcie się ściany. Zachowując środki ostrożności bez pośpiechu posuwamy się pod ziemią w kierunku skarpy. Najpierw mamy niedaleko domu do czynienia z gruntem piaszczystym, ale po kilku metrach napotykamy glinę, która ułatwia nam pracę, gdyż nie obsuwa się. Aby nie zbroczyć z wytyczonego toru i nie wkopać się za nisko lub za wysoko, wbijam w ziemię co 50 centymetrów półtorametrowej długości pręty żelazne zdobyte na jarmarku w mieście. Ich końce wskazują oś tunelu i jego głębokość pod ziemią. Wymiary tunelu pozwalają na poruszanie się możliwie swobodnie na czworakach. Do tunelu wchodzi się przez kuchnię i piwnicę zwaną schronem, uchylając wieko wjazdu dobrze dopasowanego do podłogi za dużym piecem kuchennym. Deski wieka są te same, z których jest wykonana podłoga. Trudno jest zauważyć, gdzie znajduje się wjazd. Jak się później okaże, z dobrodziejstw schronu i tunelu wiele razy korzystamy z bratem. Kiedy bowiem czeka pies i stwierdzamy, że do gajówki zbliżają się w ciągu dnia Niemcy, spuszcza się do schronu i w zależności od sytuacji albo przebywamy w nim do momentu opuszczenia gajówki przez hitlerowców, albo wychodzimy tunelem do głębokiego parowu wyżłobionego przez rzekę, skąd uciekamy do lasu. W domu pozostają wówczas tylko matka i nasze nieletnie siostry. W nocy zaś, kiedy ktoś dobija się do drzwi lub okna, schodzę z bratem na wszelki wypadek do schronu pod domem. Tego rodzaju samoobrona jest bardzo skuteczna, w zupełności zdaje egzamin. Kilkakrotnie Niemcy wpadają zniemacka na podwórko w takim czasie, kiedy partyzanci znajdują się w domu. Wówczas wchodzi oni do tunelu, a następnie wychodzą przy rzece w zarośla nie zauważeni przez nikogo.

Dwudziestego drugiego czerwca 1941 roku nad ranem budzą nas potężne grzmoty. Z początku wydaje mi się, że to burza z piorunami nadchodzi. Po jakimś czasie stwierdzam jednak, że eksplozje to nie grzmoty. Ziemia jęczy i stęka od potężnych wybuchów. Ubieram się i wybiegam na podwórko. Za chwilę zjawia się cała rodzina. Ojciec mówi, że właśnie Niemcy napadli na Związek Radziecki. Tymczasem wybuchy trwają aż do wieczora. Na drugi dzień kanonada oddała się z każdą godziną. Po kilku dniach ucicha całkowicie. Początkowo nie wiemy, czy Niemcy przerwali front i idą w głąb ZSRR czy też Rosjanie dali im w skórę porządnie. Potem dowiadujemy się z propagandy hitlerowskiej, że front został przerwany i ich wojska posuwają się szybko na wschód. Odtąd przez kilka miesięcy słyszymy ciągle warkot i huk przelatujących nad naszymi głowami samolotów. A ja czuję się po prostu chory. Przez jakiś czas nie mogę sobie znaleźć miejsca, podobnie jak było to 1 września 1939 roku.

Jesień 1941 roku. Oczekiwana przeze mnie inna organizacja podziemna nie pojawia się. Brak mi cierpliwości, aby dalej czekać na nią. Znalazłem kontakt bez wiedzy ojca. Trudno, niech się nawet pogniewa na mnie. Dokąd będę czekał na coś konkretnego? Wiem, że w terenie dominuje organizacja Związek Walki Zbrojnej. Nie jestem zachwycony nią, ale co mam zrobić. A zatem bez protekcji mojego ojca wstępuję do ZWZ. Moimi wprowadzającymi są Wincenty Kraiński i Józef Janaszek. Składam przyrzeczenie. Przyjmuję pseudonim „Sosna”. Kierownikiem placówki ZWZ jest Kamiński. Po tej ceremonii śmieją się. Pytam co to oznacza.

– A to, że w naszej placówce znajduje się teraz ojciec i syn – odpowiada Kamiński.
– Niemożliwe...
– Możliwe, możliwe. Witajcie więc obaj w naszej organizacji. Nawet coś takiego jest pożądane – dodaje Kamiński.

Od tego momentu gajówka jakby ożyła. Staje się punktem oparcia dla wielu konspiratorów i przetrzutu ich do innych rejonów. Teraz od czasu do czasu przybysz z miasta przebywa nawet kilka dni. Inny zatrzymuje się na dzień, by spotkać się z pewnymi ludźmi. W gajówce co jakiś czas odbywają się narady i szkolenia. Odbieramy i ekspedujemy przesyłki do konkretnych osób. Jeżdżę do Kielc z meldunkami i przywożę różne polecenia, które przekazuję do kierownictwa placówki. Po pewnym czasie jestem już zorientowany, że w terenie istnieją pewne struktury organizacyjne, podobnie jak to jest w wojsku. Istnieją więc drużyny, plutony, kompanie, bataliony, pułki. Jak jest wyżej, tego nie wiem. Okazuje się, że w tych strukturach organizacyjnych odbywa się już szkolenie. Zostają przydzielony do drugiej drużyny, której dowódcą jest plutonowy Janaszek. Ojciec jest w innej drużynie. W okresie zimy 1941/42 spotykamy się w celach organizacyjnych i szkoleniowych na kolonii pod Marzyszem oraz przemiennie w kilku wybranych gajówkach i w wolno stojących folwarkach, domach itp. Instruktorami naszymi są przeważnie podoficerowie zawodowi byłego Wojska Polskiego. Oni zapoznają nas z bronią, którą przynoszą ze sobą. Prawie za każdym razem jest to inna broń. Zapoznają nas również z różnego rodzaju minami i granatami. Z zasadami walki partyzanckiej w terenie i w mieście zapoznaje nas porucznik B. Kamiński spod Marzysza, gdzie znajduje się folwark. Zdarza się, że na taką zbiórkę drużyny przychodzi w umówione miejsce ktoś, kogo nie znamy i przekazuje nam informacje polityczne oraz z frontu wschodniego. Podczas spotkań szkoleniowych otrzymujemy również instrukcje, w jaki sposób należy prowadzić obserwacje wojsk niemieckich i pojawiających się grup partyzanckich, względnie organizacji podziemnych. Dokąd i w jaki sposób mamy przekazywać meldunki o tym.

Upływają miesiące, a nikt z kierownictwa organizacji nie mówi na temat czynnej, konkretnej walki zbrojnej z okupantem. Zaczynają się więc w naszym gronie dyskusje na ten temat. Ja również wyrażam

swoje niezadowolenie z tego powodu. W związku z tym niektórzy patrzą na mnie nieufnie. Nawet zwrócono mi uwagę, że w tej organizacji podziemnej nie dyskutuje się, tylko potakuje i słucha. To jest nasz obowiązek. Praw żadnych. Tylko słuchać rozkazów. I czekać, panowie, na rozkazy. Ponieważ od małego dziecka wychowywany byłem wśród ludowców, którzy mają dość radykalne poglądy na życie i w stosunku do rządzących, od samego początku okupacji niemieckiej boleję nad tym, że w terenie nie aktywizuje się ruch ludowy, robotniczy, a nawet i miejski, inteligencji. Uważam, jak wielu innych ludowców, że od razu po wejściu Niemców do Polski ruch ludowy, robotniczy powinny się organizować i porywać naród do walki z okupantem. Istnieje jedynie system konspiracyjny w kraju. To nie daje mi spokoju.

Już pół roku trwa wojna na Wschodzie. Będąc w Kielcach na rowerze, nie widzę już tej wielkiej mapy pokazującej sukcesy armii hitlerowskiej w Rosji. Ale dowiaduję się, że Niemcy coraz częściej organizują łapanki na ludzi w mieście. Słychać przeraźliwy gwizd i strzały na ulicach. Kładę więc uszy po sobie i zmykam z miasta co sił. Jest tutaj teraz niebezpiecznie. Jeszcze latem tak strasznie nie było. Widać ślady kul na murach kamienic. Czyżby nie należało teraz zaglądać do miasta? Coś się czuje w powietrzu. Chyba coś nadchodzi. A w związku z tym wstępuje w nas jakaś nadzieja.

1 stycznia 1942 roku. Moje urodziny. Kończę 17 lat. Mimo wszystko szybko ten czas leci. Tylko matka pamięta o mych imieninach. Długie wieczory zimowe. Jest teraz więcej czasu. Uczę się nadal języka niemieckiego. Każdą wolną chwilę poświęcam w dalszym ciągu czytaniu. Przeczytałem już „Krzyżaków”, „Wierną rzekę”, „Przedwiośnie”, „Rozdziobią nas kruki i wrony”. Po raz drugi czytam „Trylogię” Sienkiewicza. Czytam co popadnie. A ze Wschodu napływają coraz pomyślniejsze dla nas wiadomości. Czuję, że zaczyna mi się chcieć żyć. Jakże chcę widzieć konające niemieckie imperium zła, samych Niemców, tych drani, złoczyńców, morderców.

Jak się okazuje Rosjanie rozbili najeźdźców pod Moskwą. Donoszą o tym gazetki podziemne, które przynoszą ze wsi i z miasta. Niemcy nie przyznają się jeszcze do tego w swoich szczekaczkach i gadzinówkach. Brakuje teraz tylko drugiego frontu z Zachodu. W mieście dowiaduję się, że na początku stycznia powstała w Warszawie konspiracyjna organizacja robotnicza – Polska Partia Robotnicza i że zaczyna już organizować oddziały partyzanckie. Wiadomość ta zaskakuje mnie i pociesza. Żałuję, że wstąpiłem do ZWZ. Trzeba było jeszcze poczekać. Ale żeby to człowiek wiedział... Ale póki co mijają tygodnie w tym gajówkowym wyczekiwaniu. Któregoś dnia przypomniałem sobie o schowanym pistolecie jednego z podoficerów wrześnieiowych. Wyciągam go ze strzechy na stodole. Dobrze zakonserwowany, nie ma rdzy na sobie. Zaczynam ćwiczyć rozkładanie i składanie broni. Po którymś tam razie dochodzę do takiej wprawy, że wszystkie czynności wykonuję nawet przy zamkniętych oczach, co mnie cieszy i napawa otuchą, że nie będę gorszy od innych w znajomości broni.

Lato 1942 roku. Dowiadujemy się, że Polska Partia Robotnicza powołała konspiracyjną organizację wojskową – Gwardię Ludową. Wkrótce jest już głośno o jej działaniach bojowych w Górach Świętokrzyskich, albowiem GL zaczęła przeprowadzać śmiało akcje zbrojne przeciwko okupantowi w naszym rejonie. W związku z tym pragnę się spotkać z jakimś ludowym oddziałem partyzanckim. Nie jest to jednak takie proste i łatwe. Oddziały te bowiem pojawiają się to tu, to tam, wykonują określone zadania i przerzucają się z miejsca na miejsce, jakby zapadły się pod ziemię.

Któregoś dnia w czasie burzy piorun zabił naszego psa. Po ustaniu deszczu znalazłem go martwego w budzie. Za chwilę biegnę do obory. Otwieram drzwi, a tu obraz nędzy i rozpacz. Krowa i dwie owce leżą martwe! Koń, druga krowa i dwie owce stoją i patrzą na mnie swymi smutnymi oczyma. Wychodzę z obory i biegnę do domu, krzycząc od progów:

– Mamo! Mamo! Stała się straszna rzecz! Krowa i dwie owce leżą w oborze martwe!

– Matko Boska! Ale straszne nieszczęście nas spotkało – wybucha matka płaczem.

Wybiegamy wszyscy z domu. Wpadamy do obory. Patrzymy ze zgrozą na dzieło zniszczenia. Proponuję Mietkowi obejrzenie strychu. Wchodzimy po drabinie, a na strychu kierujemy się do ściany szczytowej. Ukośna belka dachu przerysowana jest wzdłuż. Uszkodzona jakby to zrobił ktoś narzędziem. Wiadomo więc teraz, że piorun uderzył w sam szczyt dachu obory od strony wschodniej. Poleciał po belce nośnej do górnej belki ściany budynku, zabił krowę uwiązaną do ściany obory i dwie owce stojące przy niej. Następnie skierował się po belce do grubego drutu łączącego oborę ze stodołą, na którym uwiązany był pies i po nim zakończył swoją drogę wpadając w ziemię. Jednym słowem uziemił się na psie. Co by się stało, gdyby na jego drodze nie było psa – strach pomyśleć. Piorun poleciałby po drucie do stodoły i prawdopodobnie zapaliłby ją. Tym bardziej, że stodoła jest pokryta słomą.

Schodzimy z obory. Wiemy teraz, jak się to stało. Cieszymy się, że to tak się skończyło, bo mogło być o wiele gorzej. Jak się okazało, pies uratował nas od pożaru.

– Powinniśmy mu postawić pomnik – odzywa się Mietek.

Kobiety ocierają łzy. Znowu idziemy do obory. Wyciągamy z niej na podwórko owce. Krowy nie możemy uradzić. Jest zbyt ciężka na nasze siły. Cóż, będzie mięso, ludzie wezmą. Zwróci się część pieniędzy. Kupimy drugą krowę. Nie będziemy czekać na ojca aż wróci z pracy w lesie. Nie wiadomo

kiedy przyjdzie do domu. Może w nocy. A mięso nie może długo leżeć. Jest przecież bardzo ciepło. Matka wydaje polecenia. Mietek wyprowadza rower z szopy i jedzie do Serka. Zastaje go w domu. Kobiety nadal lamentują. Słyszę szloch. Uspokajam je. Po godzinie przyjeżdża Mietek Sarek. Upuszcza krowie krew. Mówi, że powinno się było to zrobić wcześniej, zaraz po wypadku. Ale lepiej późno niż wcale. Mięso nie straci wiele na wartości. Najpierw oprawiamy krowę, potem owce. Pomagamy Serkowi. Mamy górę mięsa.

– A teraz pan Sarek odpocznie, a wy obaj jedźcie na rowerach do wsi do znajomych i przyjaciół z informacją, że w gajówce jest mięso wołowe do sprzedaży, które wyprodukowała burza z piorunami – decyduje matka.

Bierzemy z Mietkiem rowery i jedziemy do wsi. Zaczynamy od środka wsi. Ja idę w jednym kierunku, Mietek w drugim. Zawiadamiamy mieszkańców, że w gajówce jest mięso. W sekrecie. Nie mogą się dowiedzieć o tym Niemcy. Nie byłoby tłumaczenia, że krowę zabił piorun. Obóz koncentracyjny albo kula w łeb.

Pewnego dnia dostaję wezwanie do Baudienstu, czyli do junaków, ale lekarz za kilogram masła i kopę jaj dał mi zaświadczenie, że jestem głuchy na jedno ucho. Znowu się udało. Ojciec załatwił to z wójtem. Jeśli się ma trochę znajomości i grosze to można wszystko załatwić.

Którejś nocy do okna naszego domu pukają jacyś ludzie. Ojciec wychodzi i prowadzi ich do stodoły. Na moje pytanie kim są informuje, że są to partyzanci. Różne myśli przychodzą mi do głowy. Żałuję, że nie mogłem ich zobaczyć. Nazajutrz pierwsze kroki kieruję do stodoły, żeby zobaczyć prawdziwych partyzantów. Ciekawość dręczy mnie ogromnie. Ale nikogo nie zastaję. Na sianie widać tylko wygniecione miejsca. Jestem zawiedziony. Spóźniłem się – myślę.

Jesień 1942 roku. Jest już po kolacji. Nagle słyszymy ostre ujadanie psa. Spoglądamy po sobie. Jest to sygnał, że ktoś znajduje się w pobliżu gajówki. Nasłuchujemy chwilę. Gazetki konspiracyjne chowam w szparze podłogi. Po chwili rozlega się niezbyt głośne dudnienie, tupot nóg i ludzkie głosy. Po chwili szyba okna drga raz i drugi. Klamka od drzwi sieni szczęknęła i zamarła.

– Kto tam? – pyta ojciec, uchylając nieco zasłonę okienną.

Na razie nikt nie odpowiada. Pies ujada nadal, ale już w budzie.

– Chłopaki, do schronu! – nakazuje matka. Zrywam się z krzesła, biegnę za duży piec kuchenny i podnoszę wieko dużej piwnicy pod podłogą. Brat idzie za mną. Spuszczamy się do dołu, opuszczając klapę piwnicy. Siadamy na dużych pniach jodłowych. Przez podłogę słychać wszystko, co się dzieje w domu i za oknem. Znowu słychać stukanie w szybę.

– Kto tam? – ojciec powtarza pytanie.

– Partyzanci! Jesteśmy z oddziału Gwardii Ludowej imienia Ziemi Kieleckiej. Oddział „Narbutta” – pada odpowiedź. Nazwa oddziału nie jest nam już obca, słyszeliśmy już nieraz o nim. Dał się on już w tym roku porządnie Niemcom we znaki w naszym rejonie.

– Jak to dobrze, że to ten oddział, a nie inny – mówię do brata. Wytyżam słuch, aby słyszeć każde słowo za oknem i w domu. Ojciec jeszcze zwleka z otwieraniem, ale w pewnym momencie słychać zgrzytnięcie zamków i zasuw drzwi prowadzących do sieni. Do mieszkania wchodzi kilku ludzi. Słychać szuranie butami po podłodze i rozmowę.

– Adam i Mietek, wychodźcie ze schronu! – woła matka.

Partyzantów jest około piętnastu. Proszą o nocleg. Z tym nie będzie kłopotów, gdyż mamy dwie duże izby i wielką kuchnię. Trzech chłopaków zostaje wyznaczonych przez dowódcę do pomocy matce przy obieraniu ziemniaków. Pozostali partyzanci zajęli się czyszczeniem broni i oporządzenia. Tymczasem ojciec i ja usadowiliśmy się wśród nich i rozmawiamy na różne tematy, szczególnie polityczne i wojenne. Zanim matka przygotowała kolację dowiaduję się tego, co chciałem wiedzieć o nowoutworzonej Polskiej Partii Robotniczej i działalności powołanej przez nią Gwardii Ludowej. Te nazwy nawet mi odpowiadały, bo ja też jestem robotnikiem. Partyzanci informują mnie o programie, jaki został przyjęty przez PPR i GL. Ponadto otrzymuję plik gazetek podziemnych. Słucham o akcjach, w których brali udział dotychczas. Wieczór wypełniony jest przyjaznym gwarem i tęsknotą za wolnością. Jest już dość późno, kiedy dowódca oddziału zarządza odpoczynek.

Partyzanci już się pokładli do spania. W pewnej chwili podchodzi do mnie dowódca oddziału, w koszuli i spodniach, ale już bez butów i pyta:

– Jesteś wypoczęty?

– Tak.

– A znasz ten pistolet? Jak się nazywa?

– Parabellum.

– Czy umiesz się z nim obchodzić?

– Oczywiście! – odpowiadam nie bez dumy.

– A więc proszę. Wręczam ci go i będziesz czuwał do godziny trzeciej. Nie zaśnij tylko, bo diabeł nie śpi.

Dowódca oddala. się do sąsiedniej izby. Zamykam drzwi na wszystkie spusty. Pistolet wkładam sobie za pasek spodni i biorę się do czytania książki. Godziny wloką się bardzo powoli. Głośne chrapanie kilku partyzantów działa na mnie usypiająco. Postanawiam pochodzić po kuchni. Jest to moja pierwsza warta typu wojskowego w życiu. Dumny jestem z tego. Czuję, że i ja mogę być partyzantem. Ale czy przyjmują takich młodych jak ja? Tylko co by powiedziała matka, gdybym poszedł z nimi? Ona zawsze boi się o nas na zapas, kiedy który z nas wychodzi z domu. Różne myśli kołatają mi się w głowie...

Czas wlecze się niemiłosiernie. Naraz słyszę szczekanie psa. Po chwili ujada coraz głośniejsze. Uchylam zasłonkę okienną. W pierwszej chwili nikogo nie widzę. Wtem pies zaczyna skomleć. Ktoś chyba zapędy go do budy, albo go bije. A zatem ktoś jest na podwórku. Ale kto? Dlaczego ktoś przychodzi, kiedy ja mam dyżur, kiedy w domu są partyzanci? Do tej pory było dość spokojnie w gajówce – myślę. W oknie drży szyba raz i drugi. Po chwili stukanie w szybę się powtarza. Uchylam znowu zasłonkę. Nie wierzę swoim oczom. W świetle lampy widzę człowieka w niemieckim hełmie na głowie i w mundurze. W pewnej odległości od domu stoi drugi osobnik, ale mniej widoczny. Niemcy! – to pierwsza myśl. Robi mi się gorąco. Czuję straszny zamęt w głowie. Nogi uginają się pod mną. Co robić? Nie zostałem poinstruowany przez dowódcę oddziału, jak powinienem postąpić w takim przypadku. Wreszcie postanawiam go obudzić. Ale w tym momencie wchodzi matka do kuchni i nic nie mówiąc uchyla zasłonkę okienną. Jakby rażona piorunem szybko wycofuje się do izby, w której śpi dowódca oddziału.

– Panie poruczniku, Niemcy! – krzyczy. – Niemcy dobijają się do drzwi. Co robić?

Dowódca zrywa się na równe nogi, pośpiesznie wciąga na siebie ubranie i buty. Chwyta pistolet i granaty. Po chwili krzyczy: „Alarm!” Następnie woła: „Otwierać drzwi! Domownicy, uciekajcie oknami!” Zaalarmowani partyzanci zrywają się z posłania. Wciągnawszy na siebie ubranie, buty i kurtki, wyskakują oknami z domu z bronią gotową do strzału. Wykonując polecenie dowódcy odmykam drzwi do kuchni, a następnie do sieni. Przede mną stoi ten sam człowiek, którego zobaczyłem przez okno – w dużym hełmie i mundurze. Zwracam jednak uwagę na to, że nie jest to mundur niemiecki, lecz lotniczy, przedwojennego lotnictwa polskiego. W rękę trzyma pistolet skierowany we mnie. Zwraca się do mnie po polsku:

– Kto tu mieszka, nazwisko?

– Gajowy Michalski – wyjaśniam spokojnym głosem, nieco podekscytowany.

– A ty kim jesteś?

– Synem gajowego.

– Czy twój ojciec jest w domu? W tył zwrot i marsz przede mną do mieszkania! – komenderuje tamten.

Ruszam do kuchni przez sień na nogach niby z waty, popychany lekko pistoletem w plecy. Przechodząc przez próg odgraniczający sień od kuchni udaję, że się potykam i jak długi padam na środek kuchni. Napastnik, świecąc sobie latarką, kieruje się w stronę izby, w której są rodzice i dowódca oddziału partyzanckiego. Ja zaś czołgam się na zaplecze kuchni i stoję w ciemnym kącie za piecem. Słyszę jakieś szmery w jednej i drugiej izbie. Nagle coś twardego pada na podłogę kuchni i toczy się pod stół stojący przy oknie.

– Cholera, granat! – krzyczy napastnik i wycofuje się do kuchni, a następnie do sieni.

Tymczasem pada kilka strzałów oddanych z izby rodziców. Wydaje mi się, że strzela dowódca oddziału partyzanckiego. Potem wszystko ucichło. Upływają dręczące minuty, a granat nie wybucha. Dom opustoszał. Nie wiem co się dzieje. Wyglądam zza pieca. Widzę granat pod stołem. Na szczęście nie wybuchł. Po chwili wołam innych. Cisza. Rozglądam się. Lampa naftowa rzuca słabe światło na kuchnię. Drzwi podziurawione przez pociski. Sień otwarta na oścież. Spreżam się w sobie i daję susa na podwórko. Tu także cisza. Nigdzie nie ma nikogo. Rodziców z rodzeństwem też nie ma. Jakby wszyscy zapadli się pod ziemię. Macam zimną ręką pistoletu za paskiem i ruszam w kierunku rzeki, aby się gdzieś ukryć do czasu aż się wyjaśni cała sprawa. Kładę się na suchych liściach obok gęstych krzaków leszczyny. Dopiero po kwadransie słyszę głosy z boku gajówki. Widzę też ludzi wchodzących do niej. Podnoszę się z ziemi i ostrożnie skradam się w stronę domu, trzymając pistolet w rękę. Ktoś podniesionym głosem krzyczy na podwórku:

– Głupcy! Jak mogliście tak postąpić! Przez tę waszą głupotę mogliśmy się nawet powystrzelać w ciemności!

Grupka ludzi rozprawiająca o tym co się stało tej nocy wtacza się z podwórka do budynku. Podchodzę bliżej. Wchodzę do kuchni. Pośrodku kilku ludzi głośno rozmawia, a na ławie siedzi matka i szłocha.

– O, jest mój syn! – woła ocierając oczy fartuchem. – Tak się bałam o ciebie – dodaje. Uciekliśmy nad rzekę w krzaki. Wtedy usłyszałam strzały. Myślałam, że serce mi pęknie, bo bałam się o ciebie.

Dowódca oddziału stoi na środku izby z osobnikiem, który odegrał rolę napastnika tej nocy. O czymś żywo dyskutują, jakby się spierali. Obok stoi również mój ojciec. „Napastnik” tłumaczy, że jest ich czterech i należą do Armii Krajowej. Z zawstydzoną miną zaczął wszystkich przepraszać za całe to

zamieszanie. Okazało się, że zostali podpuszczeni przez dwóch chłopów z sąsiedniej wsi, którzy mieli o coś żal do ojca. Powiedzieli akowcom, że jest kolaborantem i ma broń. Całe szczęście, że w wyniku akcji nikt nie ucierpiał.

Następnego dnia tak jestem zapalony do partyzantki, że szukam okazji, aby porozmawiać z porucznikiem „Narbuttem”. I taką znajduję. Bez wstępów proszę go o przyjęcie mnie do ich oddziału. Jest nieco zdziwiony moim stanowiskiem. Za to rodzice nie zgadzają się argumentując, że na takie coś jestem jeszcze za młody. Dyskusja na mój temat jest burzliwa. W końcu porucznik „Narbutt” mówi:

– Założę u was w gajówce skrzynkę kontaktową. Zostaniesz członkiem GL i naszym zapasowym partyzantem, ale nie w oddziale, tylko tu na miejscu, w tak zwanym garnizonie. Ty będziesz opiekunem, kierownikiem tej skrzynki kontaktowej. Będziesz ją prowadził, bo potrzebna jest taka w tym rejonie. Będziesz także naszym łącznikiem między oddziałem a Kielcami, zwiadowcą, przewodnikiem i obserwatorem. A w razie potrzeby będziesz wspierał oddział osobiście. Inaczej na razie nie można.

– Zgoda, panie poruczniku, jeśli nie można inaczej – odpowiadam.

„Narbutt” prosi mnie i swojego zastępcę do wolnej izby. Tu składam przysięgę na wierność Polskiej Partii Robotniczej i Gwardii Ludowej. Przyjmuję pseudonim „Edward”. Na razie jestem usatysfakcjonowany. Nie tylko zobaczyłem pierwszych, prawdziwych, czynnych partyzantów, ale też zostaję członkiem organizacji wojskowej.

Pod wieczór, partyzanci Wypoczęci, wymyć, wyczyszczeni, z Wy-. Czyszczoną bronią, pożegnawszy się z mieszkańcami gajówki, pomaszerowali w im tylko znanym kierunku.

Z chwilą pojawienia się nowych oddziałów GL, kilku moich kolegów i znajomych zrobiło to samo co ja, w różnych okolicznościach przechodząc do partyzantki. Oni tak samo jak i ja chcieli walczyć z bronią w rękę, a nie trzymać ją u nogi. Oddziały GL zaczęły rosnać na Kielecczyźnie z dnia na dzień jak na drożdżach.

W kwietniu 1943 roku zostaję przeniesiony przez leśniczego Borkowskiego do innej pracy w lesie. Polega ona na ściąganiu żywicy z sosen. Ponoć do tej pracy kierowani są robotnicy odznaczający się większą dokładnością i sumiennością. Współpracownik mój to Stach Parkita. Nadzoruje nas inspektor Wacek z Zarządu Lasów Państwowych Kielce. Jest człowiekiem surowym i bezwzględny. Z Polaka zrobił się Niemiec. Pokazuje, że jest figurą. Zamieszkuje w Kielcach. Dojeżdża do okolicznych lasów motorynką. Nie pozwala sobie inaczej mówić tylko „Panie inspektorze”. Za jakiegokolwiek uchybienia zdolny jest wysłać człowieka na roboty do Niemiec lub do obozu pracy.

Z początku nie wiemy do czego służy żywica. Po pewnym jednak czasie dowiaduję się, że potrzebna jest ona Niemcom między innymi do celów wojskowych. W związku z tym ogarnia mnie niepokój. Jak to tak, pracując w naszym kraju muszę pomagać Niemcom w ich wojnie? Ale przecież teraz na każdym stanowisku pracy pomagamy Niemcom. Zresztą co ja mam teraz tutaj do gadania. Przenieśli mnie i koniec. I tak medytując nad tym pracujemy kilka tygodni.

Będąc w mieście u znajomego drogerzysty – aptekarza dowiaduję się, że żywica nie służy tylko do celów wojskowych. Można z niej wyprodukować nawet domowym sposobem kalafonię i terpentynę, które to produkty są obecnie bardzo poszukiwane do wyrobu mydła, farb i innych rzeczy jako artykuły chemiczne, kosmetyczne. I co najważniejsze, że na tym interesie można nieźle zarobić. Ale jest to proceder niebezpieczny, za który można zostać zesłanym do obozu koncentracyjnego. Wracam z miasta i myślę nad tym co mi powiedział drogerzysta. Ale co teraz ludzie nie robią aby żyć, aby przetrwać ten straszny czas, jaki nam zgotowali Niemcy. Jeśli nie wszyscy, to wielu teraz ryzykuje.

Jesteśmy zaproszeni na wesele w Sakowie. Gajowego prosi się na wsi na wesela i chrzciny dość często, jak przynajmniej wójta, czy burmistrza. Może nawet aż za często, żeby sobie zaskarbić jego względy, kiedy ktoś ze wsi będzie chciał skorzystać z lasu. Ludzie umieją liczyć, wiedzą co jest korzystne, a co nie. Chodzą więc rodzice na wesela i chrzciny od czasu do czasu. Szczególnie ojciec, kiedy tylko nadarza się okazja, pogania matkę i z ochotą wybiera się tam, gdzie można popić, pojeść i potańczyć. Nie chodzą do teatru, do kina, bo we wsi ich nie ma, to chociaż na weselach i chrzcinach można zobaczyć kino lub teatr, użyć czasami rozkosznej rozrywki „kulturalnej”. Tym razem panna młoda jest nieustępliwa, nawet upierdliwa. A że jestem już prawie dorosły, prosi i mnie. Oblapuje rodziców i mnie. Ma być sporo młodzieży, więc nie będzie mi się nudziło. Do tej pory nie lubiłem chodzić z rodzicami na wiejskie uroczystości. Ale tym razem matka namówiła mnie. Tego dnia przyszła nawet po nas furmanka dwukonna z końmi przystrojonymi w różnokolorowe wstążki i kwiaty. Jedziemy. Znajdujemy się już na podwórku gospodarza domu, który wydaje za mąż córkę. Jeszcze nie spuściliśmy nóg z wozu, a tu muzyka już rżnie nam marsza weselnego. Witają nas jak dziedzica. Przyjmują nas w progu państwo młodzi i ich rodzice. Słychać w izbie wesoły śpiew. Sadzają nas blisko nowożeńców. Mnie między młodymi gośćmi. Oczywiście zaczyna się uroczystość od kieliszka z wódką. Kobiety i mężczyźni prześcigają się w rubasnych przyśpiewkach. Co chwila wybucha śmiech, zmieszane okrzyki sprzeciwu lub aprobaty. Na razie nic nie wskazuje, że będą się bić. Bo podobno bywają bijatyki na weselach. Ale i oto spostrzegam wśród młodych dziewczynę o niebieskich oczach,

ciemnych włosach i śniadej skórze. Interesuje mnie ona. Jeszcze do tej pory żadna dziewczyna mnie nie interesowała jak ta. Stwierdzam, że i ona obrzuca mnie swoim spojrzeniem. Napotkawszy mój wzrok rumieni się. Wyczytuję w jej rumieńcu, że ma niewiele więcej niż siedemnaście lat. Kapela gra coś wolnego. Serce mi łomocze, jakby chciało wyskoczyć. Myślę żeby poprosić ją do tańca. Nie dowiem się skąd ona jest, jeśli nie zatańczę z nią. Żeby się tylko nie zbłaźnić. Po chwilowych wahaniach podrywam się z miejsca, obchodząc stół kłaniam się jej i proszę do tańca. Uśmiecha się i podaje mi rękę. Wchodzimy w tłum. Nawiązujemy przyjemną rozmowę. Okazuje się, że jest córką młynarza ze młyna na Czarnej Nidzie, w innej parafii.

– I kto by powiedział, że na takim odludziu chowają się takie dziewczyny – stwierdzam. – Ja też mieszkam na odludziu. Moi rodzice są tutaj. O ten w mundurze leśnym to mój ojciec.

Potem już nikomu nie popuszczam jej. Dalej tańczymy. Coraz lepiej nam idzie. Przysiadam na przetrwach koło niej. Nie piję wódki, by się nie upić i nie zbłaźnić. Chcę się jej przypodobać. Zaczynam się już czuć mężczyzną. Pierwszy raz w moim życiu. I znowu idziemy do tańca. Tymczasem wesele toczy się dalej. Płyne wódka.

– Czy mogę przyjechać w niedzielę do tego młyna, aby coś zemleć? – pytam.

– Proszę bardzo, tylko nie zemleć, bo w niedzielę się nie miele. A w ogóle to młyn jest zamknięty przez Niemców i zaplombowany – wyjaśnia.

– W takim razie przyjadę na rowerze nie do mielenia, lecz do Ciebie. Dobrze?

– Właśnie, o to mi chodzi.

Już wiem, że dziewczyna połknęła haczyk. I ja również chyba zbzikowałem na jej punkcie. Co się ze mną dzieje? Do tej pory nic takiego się ze mną nie działo... Muzyka milknie. Ściskam jej dłoń. Ona wspina się na palcach i dotyka mnie nagle swoimi ustami w policzek. Spłoszyła się. Ucieka zaraz na swoje miejsce, jakby się zawstydzila tym co zrobiła. Rozglądam się po izbie weselnej. A jednak ponad wszystko króluje panna młoda...

Nadeszła północ. Goście weselni zaczynają się powoli rozchodzić. Wraca do swego domu i moja dziewczyna. Odprowadzam ją na podwórko. Żegnamy się czule. Jak w bajce. Alicja już siedzi w bryczce. Podcina konia. Odjeżdża, a ja już zaczynam myśleć o naszym kolejnym spotkaniu w najbliższą niedzielę.

Lato 1943 roku. Jestem w jakiejś sprawie w mieście i stwierdzam, że Niemcy zdjęli już mapę wywieszoną na rynku, na której ukazywali „sukcesy” swojej armii na froncie wschodnim. Bardzo się cieszę, bo stwierdzam, że hitlerowców zaczyna ogarniać coraz większa nerwowość. Nie mając kim zastąpić chociaż częściowo swoich ludzi w Vaterlandzie, urządzają coraz częściej łapanki na Polaków, których wciąż wywożą na przymusowe roboty. Takie myśli i inne kołaczą mi się w głowie. Nagle ni stąd ni zowąd słyszę od ludzi: „łapanka!”. Oglądam się na wszystkie strony i stwierdzam, że jestem w kotle, jaki Niemcy urządzili na ulicach Kielc. Wielu mężczyzn i mnie prowadzą popychając pistoletami do samochodów – bud, które stoją na starych bazarach. Idziemy ulicą, gdzie po bokach w kamienicach widzę otwarte bramy. Wybieram jedną z nich i ile sił w nogach wpadam do środka. Przez podwórko, przeskakując parkan, uciekam na teren sąsiedniej posesji. Słyszę za sobą – „Halt! Halt!” Potem strzały z pistoletu maszynowego. Wchodzę do najbliższego domu. Ktoś otwiera mi drzwi od mieszkania. Teraz dopiero zdaję sobie sprawę z tego co by było, gdyby mnie złapali i wywieźli. Po kilku godzinach wracam do domu oglądając się na wszystkie strony, żeby nie dać się złapać. Tym razem zamiast przez Bukówkę, wracam przez Mójczę i lasem do domu.

Lasy Kielecczyny aż huczą od strzałów, jak za czasów Langiewicza. Ale teraz również częściej słychać echo niemieckich salw egzekucyjnych na skraju lasów otaczających Kielce. Niemcy przywożą z miasta skatowanych ludzi i dokonują egzekucji. Do tej pory w pobliżu gajówki jakoś rzadko się ich widziało. Obecnie coraz częściej. A to idą wzdłuż rzeki ze czymś, a to brzegiem lasu, a to przez las, albo nawet przez pola piaszczystymi drogami. Na skutek tego przez gajówkę przewijają się coraz częściej różne grupy partyzanckie. Do tego stopnia, że czasami jedna przychodzi, a druga odchodzi lub jedna nakłada się nawet na drugą. I to jest najgorsze dla nas, że przewijają się przez gajówkę grupy o różnej orientacji. Najczęściej jednak i najliczniej odwiedzają nasz dom partyzanci z Gwardii Ludowej przemianowanej na Armię Ludową. Jak możemy tak im pomagamy. Całe szczęście, że tego roku mamy sporo ziemniaków. Buraki czerwone też obrodziły. Często więc widzę matkę stojącą nad głowami, za plecami zmęczonych chłopców i co chwila pytającą, czy jeszcze dolać barszczu, czy jeszcze dolożyć ziemniaków ugotowanych w sporym kociołku, czy dokroić chleba razowego. Widzę również ojca, jak się uśmiecha, szukając okazji do rozmowy z partyzantami, od których wiele się dowiaduje o froncie wschodnim i o walkach na Kielecczyźnie. Dostajemy w dalszym ciągu gazetki podziemne, które sobie wyrrywamy z rąk do rąk.

Ale w tym czasie niestety nie tylko partyzanci pojawiają się w gajówce. Zaglądają do niej również żandarmi niemieccy z pobliskich posterunków, które nie zostały jeszcze rozbite przez partyzantów. Przychodzą także strażnicy leśni i granatowi policjanci. Ich wizyty stają się coraz częstsze. Nasz teren jest jakby bardziej penetrowany, lustrowany, rewidowany. Nie omijają to gajówki. Trzeba się

gimnastykować przy zadawanych pytaniach. Mimo że Niemcy dostają lanie na wszystkich frontach, nie przestają gnębić Polaków i Żydów. Słyszysz się często o organizowaniu gett żydowskich, przesiedlaniu ich ze wsi do miasta, wywożeniu do obozów koncentracyjnych. „Łapanki” na roboty do Niemiec są na porządku dziennym. W naszym rejonie zaczyna się tzw. „walka o szyny”. Nasi partyzanci bowiem mają niejedną okazję do przeprowadzenia akcji, podczas których wykoleją i niszczą pociągi niemieckie ze sprzętem wojskowym. Przeżywamy ciężkie chwile. Drżymy, aby nas ktoś nie oskarżył, że w naszej gajówce przebywają partyzanci. Wiemy już od ludzi, że kilka gajówek podobnych do naszej w okolicy poszło z dymem, a ich mieszkańcy zostali wymordowani przez żandarmów. Ale czy można zamknąć gajówkę na wszystkie spusty? A dokąd pójść? Trwamy więc nadal jakby na posterunku. Co będzie, to będzie. Albo nam się uda przeżyć, albo się nie uda.

Od jakiegoś czasu Niemcy przywożą swe ofiary do kolejnej egzekucji na skraj lasu, pół kilometra od gajówki. Musimy więc być w jakimś sensie świadkami tych kaźni urządzanych przez Gestapo kieleckie. Nie ma tygodnia, aby się nie rozlegały serie z pistoletów maszynowych. Już nie możemy słuchać jęków mordowanych ludzi, ale jesteście bezradni, ubezwłasnowolnieni. Tych nieszczęśników przywożą samochodami ciężarowymi – budami. Wyglądamy partyzantów, ale jak na złość nie ma ich w tych momentach. Rozpacz i bezsilność targa moją duszę. Po odjechaniu Niemców z miejsca kaźni, ukradkiem idziemy tam, gdzie przed kilkoma minutami rozegrał się dramat. Spotykamy tylko masowy grób. Czasami nawet ziemia jeszcze jest ciepła od ciał zamordowanych. Zapamiętuję, że zwykle przyjeżdżają ci bandyci z ofiarami przed wieczorem. Rzucamy na masowy grób wiązkę zerwanych w lesie i na polu kwiatów.

Budzi nas stukanie do okna. Chwilę leżymy wszyscy w łóżkach wstrzymując oddech. Kołatanie powtarza się.

– Panie gajowy, otwórz pan na minutę. Tylko na minutę i zaraz uciekam – słyszę znajomy głos.

Zgrzyta zamek i zasuwą. Do mieszkania wchodzi znajomy partyzant. Niejeden raz był on już w naszej gajówce przy różnej okazji i w różnych okolicznościach.

– Proszę pana. Wieziemy cenny ładunek. Nie znam tutaj, w tej okolicy wszystkich dróg polnych i leśnych, więc chciałem pana prosić, aby nas pan poprowadził z pięć kilometrów drogi.

– Kiedy jestem chory, mam porządną grypę – mówi ojciec.

– To niedobrze. A może któryś z synów by nas poprowadził? Oni chyba znają nie gorzej od pana te drogi – proponuje partyzant.

– Adam, wstawaj no, pójdziesz kawałek drogi z partyzantami. Jest partyzant „Burza”. Znasz go dobrze.

Nie chce mi się wstawać w środku nocy, ale jeśli trzeba, to trzeba. Już nie jeden raz prowadziło się partyzantów po lesie i rozdrożach. To nie nowość dla mnie. Cóż zrobić, trzeba pomóc. Ubieram się więc i w kilka minut jestem gotowy do drogi. Biorę latarkę i pistolet. Tak na wszelki wypadek. Idziemy około trzysta metrów i widzę dwie furmanki stojące na polnej drodze w zagajniku.

– Nie będziemy szli pieszo. Pojedziemy. Wsiadaj na pierwszą furmankę, a ja będę na drugiej. – mówi „Burza”.

Wskakuję na pierwszy wóz. Trzeba najpierw jechać kawałek przez las, przejechać rzekę Warkocz, wyjechać na sąsiednią gajówkę, a potem cały czas należy jechać brzegiem lasu na młyn i Mójczę. Droga wyboista. Pełno korzeni i kamieni. Konie potykają się na nich. Jest ciemno i cicho. W gęstym mroku można dostrzec jedynie najbliższych siedzących na wozach. Zatapiam się we własnych myślach. Przypomina mi się, ile to razy szedłem tędy na piechotę w 1939 roku do szkoły w siódmej klasie. Setki razy. Znany mi jest więc tutaj prawie każdy korzeń, kamień, większa wyboina. Codziennie tam i z powrotem, razem dziesięć kilometrów przez cały rok. Cóż było zrobić. Bliższej szkoły dla mnie nie było. Tak, znam dobrze ten las i tamten obok gajówki i nawet jego tajniki. Chyba, tylko ojciec zna go lepiej ode mnie...

Szarpięcie wozu wyrwa mnie nagle z myśli. To koło wpadło w głęboki dół z wodą i o mało co wóz by się wyrócił. Ale znowu się potoczył do przodu. Konie parsknęły. Las szumi i jakby od czasu robi głęboki wdech powietrza. Wozy jadą teraz równiej i ciszej. Posuwamy się wzdłuż łąk. Na niebie świecą rozsiane gwiazdy. I znowu czoło kolumny dotyka ściany lasu, w który wsiąkamy. Nad ranem docieramy do celu. Czuć kwaśny swąd ogniska obozu partyzanckiego i pot ludzi, jałowy zapach smaru do konserwowania broni i zapach leśnej ziemi, na której rozpostarto obozowisko. „Burza” schodzi z wozu i szybko rozładowujemy jakieś skrzynki. Trwa to kilka minut. W końcu „Burza” dziękuje furmanom i mnie. Mocny uścisk dłoni. Potem znowu jedziemy tą samą drogą, ale już z pustymi wozami. Minęło napięcie, jakie towarzyszyło nam całą drogę. Słońce już podniosło się do góry, kiedy docieramy do gajówki.

Czerwiec 1944 roku. Jest godzina dziesiąta. Biorę narzędzia i ruszam do lasu. Idę ścieżką brzegiem lasu do mego odcinka pracy znajdującego się w wysokopiennym lesie. Sosny stoją spokojnie oskrobane z jednej strony z kory do wysokości człowieka. Na okorowanej części pnia (spale) jest już około dziesięć nacięć ukośnych. Robią wrażenie żeber wystających z kręgosłupa człowieka. Czekam na Stacha, którego

jeszcze nie ma. Leżę na ściółce pod wysokim i grubym drzewem i rozmyślam. Zastanawiam się jak tu zacząć rozmowę ze Stachem o moim planie pozyskiwania żywicy z drzew. Wydaje mi się, że on jest godzien zaufania, wszak chodzi tu o sprawę związaną z sabotażem godzącym w okupanta. Wiele dowodów świadczy o tym, że to swój człowiek.

Trzeszczy chrust leżący na ziemi. Spoglądam w kierunku skąd dochodzi lekki trzask. To Stach idzie ku mnie, kolega po fachu, z którym pracuję już trzeci rok.

– Staszek, chciałem ci coś powiedzieć – mówię na powitanie. – Ale to musi być nasza i tylko nasza tajemnica. Rozumiesz?

– Rozumiem.

– Dowiedziałem się w mieście, że to, co my tutaj robimy pomaga Niemcom w ich wojnie.

– Nie może być. Dlaczego?

– A dlatego, że żywica potrzebna im jest do celów wojskowych, kosmetycznych, wyrobu mydła, terpentyny i innych produktów. Czy ty wiedziałeś coś o tym?

– Jak Boga kocham nic a nic nie wiedziałem. Nie miałem o tym zielonego pojęcia. Kazali przejść do tej roboty, to przeszedłem, podobnie jak i ty, bo tu miał być lepszy zarobek. A że do tak ważnej roboty idziemy i przyszliliśmy, tego nie wiedziałem. To co teraz zrobimy? Mamy ją zostawić, zrezygnować z niej?

– Nie denerwuj się. Nie ma co rozpaczać. Ja do ciebie się zwracam nie dlatego, żebyśmy zrezygnowali z tej roboty, tylko dlatego, że mam pewien plan. Nie tak dawno rozmawiałem z magistrzem drogerii. On mi to podpowiedział. Pracowalibyśmy tak, jak pracowaliśmy do tej pory, tylko że nie oddawalibyśmy Niemcom całego zbioru żywicy. Jednym słowem uprawialibyśmy sabotaż. Rozumiesz? To znaczy, że szkodzilibyśmy Niemcom. Nie wiem, czy ci wiadomo, podobno teraz w całej Polsce uprawia się sabotaż, gdzie się tylko daje i jak się daje. Myślę, że i my moglibyśmy coś takiego robić. Co ty na to?

– A co w żywicowaniu można byłoby źle robić? Na czym miałyby polegać ten sabotaż u nas? – pyta Stach.

– Po pierwsze na tym, że nie oddawalibyśmy wszystkim żywicy. Nieoddaną żywicę przetapialibyśmy na kalafonię i sprzedawalibyśmy ją w mieście w drogeriach, składach aptecznych, aptekach. Jak chcesz wiedzieć, przez cały tydzień robiłem doświadczenia w domu i otrzymałem ładną kalafonię prawie nie różniącą się od fabrycznej i terpentynę. Nie masz pojęcia, co to za ciekawa robota. W taki sposób pomogliśmy wielu ludziom, którzy cierpią na brak mydła. Oczywiście ryzykowna to sprawa, ale nie byłoby problemu ze zbytem. Mam znajomego właściciela drogerii. Po drugie nasza robota polegałaby na tym, że w nocy przychodzilibyśmy do swego miejsca pracy i do sąsiadów i rozbijalibyśmy naczynia przymocowane do drzew oraz puste beczki. Co w nocy byśmy popsuli, to w czasie dnia byśmy naprawiali. W taki sposób opóźnialibyśmy zbieranie żywicy i jej odstawianie do magazynu. Jeśli będzie prowadzone dochodzenie w tej sprawie, czego na pewno nie unikniemy, zwalimy wszystko na partyzantów. Napiszemy kartki nawołujące innych robotników do sabotażu i włożymy je do naczyń, w które ścieka żywica z drzew. No, jak ci się podoba mój plan? Zgadzasz się na taką robotę?

– Ależ oczywiście. Jeszcze pytasz? Nigdy bym nie wpadł na taki pomysł. Zresztą, gdybym wiedział przedtem do czego służy żywica, pewnie bym coś kombinował. Ale co może wiedzieć ciemny chłop ze wsi. A czy pomyślałeś też o jakimś gnacie? Przydałaby się jakaś spluwa, bo wiesz, zawsze to noc. Diabli wiedzą, co może się nam przydarzyć.

– I o tym pomyślałem. Tak się złożyło, że mam coś takiego. Nie mówiłem ci o tym, bo i po co. Kiedyś obozowali w okolicy mojego domu niemieccy żołnierze. W nocy w systemie alarmowym opuścili to miejsce i pozostało po nich sporo cennych rzeczy, takich jak trotyl, lont, trochę sprzętu wojskowego. Wszystko to dobrze ukryłem.

Umawiamy się ze Stachem, że zaczynamy naszą działalność od jutra. Wieczorem po kolacji udaję się do swojego schowka. Wyjmuję nagan i dwa granaty, wkładam je do torby i kieruję się w stronę lasu. Gdyby tak matka wiedziała co ja tu mam teraz przy sobie, pewnie by umarła ze strachu o mnie – myślę. Nie, nie może wiedzieć o tym. Nie mogę jej już mówić o wszystkim, od czasu kiedy zacząłem pracować. Nigdy jej tego nie powiem co robimy teraz, co zrobimy, gdyż narobiłaby szumu... Dwadzieścia minut i jestem między żywicowanymi sosnami. Mamy się spotkać ze Stachem przy dużej sośnie. Jak zwykle jestem pierwszy. Tak jest prawie zawsze. Jemu nigdy się nie spieszy. Takim ludziom to dobrze. Kładę się na ściółce. Nagle odzywa się głos puchacza – to nasz umówiony sygnał. Za chwilę witam się ze Stachem. Idziemy do młodego zagajnika przylegającego do lasu wysokopiennego, gdzie są ukryte wiadra, łopata, siekiera i młotek. Zabieramy je i podążamy w drugie miejsce, gdzie są wkopane stulitrowe beczki. Tu składowy żywicę. Cztery beczki wystają nieco z ziemi.

– Wykopujemy te dwie beczki i przetoczmy je do innego miejsca, w gęstych chaszczach. Pozostałe dwie zostaną na miejscu – decyduję.

Każda beczka waży ponad sto kilogramów. Wpychamy je pod rozłożyste gałęzie i maskujemy. Będą czekać do jutra. Wychodzimy z krzaków i idziemy do stojących żywicowanych sosen. Młotkiem

rozbijamy szklane naczynia w kształcie dużych szklanek. Tłuczemy tylko naczynia szklane i te, w których jest jak najmniej żywicy. Trwa to może pół godziny lub więcej. Do niektórych z nich wkładamy przygotowane wcześniej kartki z napisem, że zrobili to partyzanci. Robimy to również na działkach innych robotników.

Nazajutrz rano melduję leśniczemu, że skradziono nam dwie beczki żywicy i potłuczono sporo naczyń szklanych. Pokazuję mu wyrządzone szkody i kartkę z napisem, że zrobili to partyzanci. Leśniczy Borkowski czyta i rusza wąsem. Kartka wyjęta z naczynia i jej treść upewnia go, że zrobili to partyzanci. Nic nie mówi. On wie, że w terenie jest dużo partyzantów różnej orientacji.

– Co mamy robić, panie leśniczy?

– Na razie nic nie róbcie. Ja muszę zameldować inspektorowi. Muszę zadzwonić do Kielc i do Nadleśnictwa. Jeśli będziecie potrzebni, zawiadomię was.

Na trzeci dzień leśniczy zawiadamia nas, że mają przyjechać do lasu Niemcy ze straży leśnej oraz inspektor od żywicowania. Określił dzień i godzinę spotkania w lesie. Na czwarty dzień przyjeżdża trzech Niemców i inspektor od żywicowania na nasz rejon. Przesłuchują nas najpierw razem, a potem pojedynczo. Przesłuchują również leśniczego, gajowego i innych robotników z ich rewirów. Wszyscy razem i osobno twierdzą, że czynią to partyzanci. Po zakończonym przesłuchaniu Niemcy wracają do Kielc. Inspektorowi polecają dostarczyć nowe naczynia.

Od tego czasu inspektor nadzorujący nasze prace przy żywicowaniu pojawia się częściej w naszym rewirze. Nie ma tygodnia, żeby nie był przynajmniej raz u nas. Wkrótce zamiast szklanych dostarczono nam naczynia metalowe z blachy. A inspektor ciągle węszy, przygląda się nam z dziwnym uśmiechem. Zagaduje o tej sprawie. Ciągle bada to co się stało. Przekupuje nas nawet. Robi jakieś aluzje. Obiecuje każdemu z nas duże pieniądze w wypadku wskazania tego, kto to robi. Nie bardzo wierzy, że to robota partyzantów. Kiedy to nie skutkuje – straszy. My jednak stoimy przy swoim, że robią to partyzanci, których nawet widzieliśmy z daleka, jak maszerowali przez las. I nic nie wiemy nadal w tej całej sprawie.

Potem wzięliśmy się za niszczenie naczyń blaszanych. Wystarczy uderzyć w nie obcasem buta, a już tworzy się spodek o dziwnym kształcie nie nadający się do użytku. I tak już do końca sezonu żywicowania „partyzanci” niszczą naczynia oraz zabierają żywicę. Inspektor nie może nadać z dostarczaniem naczyń blaszanych. A Niemcom nie udaje się dojść, kto tak naprawdę dokonuje tych szkód. W efekcie nie mogą tego lata wykonać swego planu w zebraniu żywicy w naszym leśnictwie. Straszą więc leśniczego i gajowego, że zostaną zdjęci ze stanowisk i wywiezieni do obozu koncentracyjnego.

Obserwując działania Niemców na naszym terenie, nieustające mordy i terror, mam żal do naszych z ruchu oporu, że nie potrafili zorganizować naszego społeczeństwa w taki sposób, aby każdy chłopak od czternastego roku życia był partyzantem. Wówczas z każdego okna, zza każdego rogu czyhałby na okupantów partyzant. W takiej sytuacji nie mogliby nigdzie czuć się bezpiecznie. Wydaje mi się, że gdybym miał odpowiednią władzę doprowadziłbym do tego. A wtedy Niemcy mieliby się z pyszna. Jednak i teraz noc należy już do polskich partyzantów. Niemcy coraz rzadziej podejmują akcje odwetowe. Z czasem stają się coraz bardziej niespokojni, mniej pewni siebie. Jednym słowem zaczynają się bać. W naszych głowach rodzą się różne pomysły w zakresie szkodenia im. Niemal w każdym miejscu i o każdej porze dnia i nocy zaczyna im się palić grunt pod nogami...

Koniec obiadu. Kładę na stół kilka kawałków kalafonii. Ojciec zdziwiony pyta skąd to mam. Odpowiadam, że sam zrobiłem. Matka słysząc to nie może uwierzyć.

– Nie wierzycie, to możecie się przekonać o tym w zagajniku. Możecie zobaczyć, jak się to robi. Całą „fabryczkę”.

Wszyscy od razu się ożywili. Chcą natychmiast zobaczyć moje dzieło. No to idziemy. Wychodzimy pojedynczo z domu i spotykamy się na brzegu zagajnika. W domu zostawiamy siostry, gdyż nie wtajemniczamy ich we wszystko co robimy. Jesteśmy na skraju zagajnika – ja, ojciec, matka i brat. Pokonujemy gęste krzaki. Już jesteśmy na miejscu – oznajmiam. Znajdujemy się w niewielkim szalasie wykonanym z desek i gałęzi. We wnętrzu stoi murowany, zrobiony z cegły, kamieni i gliny piec. Z pieca wychodzi niegruba rura na zewnątrz szalasu, służąca jako komin do odprowadzania dymu. Na piecu stoi dwudziestolitrowy kocioł, z którego wychodzi rurka połączona z innym zbiornikiem.

– Nie do wiary! – odzywa się matka.

– No to opowiadaj, jak to robisz! – rzuca ojciec.

– Wygląda to tak. Napelniam kocioł żywicą, pod nim palę w piecu. Podczas ogrzewania żywicy w kotle powstaje para, która przechodzi do węzownicy znajdującej się w zbiorniku z zimną wodą, gdzie skrapla się tworząc ciecz zwaną terpentyną. Terpentyna schodzi końcem węzownicy do ostatniego naczynia. Żywicę ogrzewam na wolnym ogniu do chwili powstania z niej płynnej substancji o odpowiedniej konsystencji. Przerывam podgrzewanie kotła, kiedy krople płynu puszczane z łyżki lub łopatką na duży kamienny głaz szybko stygną. Krople przeistaczają się w złote kulki. Kulki te zgniecione w palcach tworzą z kolei żółty proszek. Płynną masę rozlewam do blaszanych wanien i zostawiam na noc do ostygnięcia i przejścia jej w ciało stałe, zwane kalafonią. Im czystsza jest ta gorąca płynna

masa, tym ładniejsza jest przezroczysta kalafonia. Dlatego podczas podgrzewania żywicy trzeba zbierać zanieczyszczenia lub tę masę precedzić przez sito.

- Nic nie mówiłeś, że robisz coś takiego – odzywa się matka.
- A co miałem mówić? Po co się chwalić, jeżeli jeszcze nie było gotowe?
- Tylko uważaj, żebyś nie wpadł z tym, bo wiesz chyba czym to pachnie...

Sierpień 1943 roku. Słońce grzeje. Jak codziennie, tak i tego dnia nacinamy żywicowane sosny. W powietrzu unosi się zapach olejków eterycznych. Szosą biegnącą przez las, w którym pracujemy, dość często przejeżdżają jakieś ciężarówki z wojskiem hitlerowskim lub sprzętem, samochody osobowe, tankietki lub motocykle, zdążając w kierunku wschodnim z miasta lub zachodnim do miasta. Nacinając sosny ostrym narzędziem patrzę na to wszystko i myślę, w jaki sposób cokolwiek zaszkodzi Niemcom, którzy buszują jeszcze w naszym rejonie. To co robimy z żywicą ze Stachem jest dla mnie za mało. Nic jednak nie przychodzi mi do głowy. W końcu dochodzę do wniosku, że nic nie zrobię w pojedynkę. Już słońce wskazuje południe, gdy nagle doznaję jakby olśnienia.

– Staszek, zróbmy przerwę, mam pewien pomysł – mówię. Siadamy pod rozłożystą sosną, pod którą jest trochę cienia. Pijemy herbatę.

– Czy ty słyszałeś o tym, że przedwczoraj przed wieczorem Niemcy znowu przywieźli kilku ludzi budą z miasta i rozstrzelali ich na skraju lasu, w tym samym miejscu, gdzie i poprzednio?

– Nie. Słyszałem tylko o poprzednich rozmówkach w tym miejscu. Nawet któreś niedzieli poszliśmy w kilka osób na tę mogiłę. Położyliśmy na niej kwiaty. Czyżby znowu...

– Kiedy obserwuję z ukrycia te egzekucje dochodzę do wniosku, że wystarczyłoby nawet dwóch ludzi z bronią maszynową i granatami, a skazańcy mogliby być uratowani, bo Niemcy by uciekli. Jest tylko jedna trudność. Chodzi o to mianowicie, że trzeba by codziennie czatować na szkopów w lesie przed wieczorem, bo nie wiadomo kiedy przyjadą z miasta. Rozumiesz, codziennie. Dlaczego przyjeżdżają przed wieczorem, to diabeł ich wie. Już trzy razy byli ze skazańcami przed wieczorem i w tym samym miejscu, to może i czwarty raz zjawią się także tutaj.

– Co zatem masz na myśli mówiąc mi o tym wszystkim – pyta Stach.

– Może się zdziwisz, a może i nie. Po prostu pomyślałem sobie, że to my obaj zrobilibyśmy zasadzkę na szkopów, którzy przywożą naszych na skraj lasu i rozwalają ich. Co ty na to?

– Znowu zaskoczyłeś mnie nowym pomysłem. Jeśli to już przemyślałeś i uważasz, że jest to realne, to czemu nie. Jestem gotów wziąć udział w takiej akcji. To już jest grubsza sprawa. Bardziej precyzyjna i bojowa. Partyzancka.

– To dobrze, że się zgadzasz. Myślałem, że mi nie odmówisz. Fajny z ciebie chłop. Taki plan zrodził mi się, kiedy patrzyłem na pędzące szosą samochody niemieckie. Już coś świtało w umyśle wtedy, gdy ostatnio Niemcy zamordowali kilku naszych. Kiedy odjechali pobiegłem z bratem i siostrą wieczorem na miejsce zbrodni. Taka mnie wzięła żalność, że płakałem z wściekłości, że tym ludziom nikt nie może przyjść z pomocą.

– Czy masz już jakiś pomysł, jak moglibyśmy wykonać tę zasadzkę? – pyta Stach.

– Mam. Wydaje mi się, że zamiast pracować w lesie przy żywicowaniu przed południem, moglibyśmy to robić po południu do wieczora. Leśniczemu jest to obojętne, abyśmy tylko wykonali robotę. Jednocześnie obserwowalibyśmy jadące szosą samochody. Jeśli jakiś samochód – buda skręciłby z szosy w las i skierowałby się do poprzedniego miejsca kaźni, to by oznaczało, że i tym razem wiozą ludzi na rozstrzelanie. Proponuję więc czatowanie na budę przez dzień, dwa, tydzień, a może i dłużej aż do skutku. Nie widzę innego sposobu na zrealizowanie naszego zamiaru. Nie moglibyśmy przecież usiąść na kilka godzin i czekać na nich.

– Ale zaraz, zaraz. A z czym ty zamierzasz wystąpić przeciwko nim. Czy może tylko z tym twoim naganem i paroma granatami? Bez broni maszynowej nie ma mowy. Przydałby się również dobry karabin, który strzela celnie i daleko. Bo to przecież spora odległość do nich od nas.

– Słusznie. I o tym pomyślałem. Nie mówiłem ci do tej pory, że mam również pistolet maszynowy Mpi, który zostawił u nas rok temu jeden z partyzantów na przechowanie. Jest do niego spory zapas amunicji. Dlaczego ten partyzant nie przychodzi po niego – nie wiem. No ale skoro się nie pojawia, mam chyba prawo wykorzystać pistolet do wyższego celu. My więc zrobimy z niego konkretny użytek. Mam również dobrze utrzymany przeze mnie karabinek naszego żołnierza z 1939 roku. Myślę, że tym co mamy możemy wiele zdziałać. Obchodzić się z pistoletem maszynowym umiem. Znam go dobrze, wiele razy go rozbierałem i składałem oraz konserwowałem. Kilka razy z niego strzelałem. Trafiałem w pudełko zapalek z odległości 50 metrów. Bije więc celnie. Jeśli się uderzy zniemacka na małą grupę Niemców, to zobaczysz, jak będą wiali. Pomyślą, że napadli na nich partyzanci. A jeśli udałoby się odbić skazańców, to byłoby to zwycięstwo nie byle jakie. W każdym razie nie pokazaliby się tutaj już więcej. A gdyby się udało trafić w jakiegoś szkopa? Poprzednio przyjeżdżało tylko czterech lub pięciu żandarmów z kilkoma skazańcami przeznaczonymi do stracenia.

– Zrobimy wszystko tak jak mówisz. Może nam się uda. Najwyżej wycofamy się do głębokiego lasu, jeśli napotkamy większą siłę z ich strony.

Jeszcze tego samego dnia po zakończeniu pracy przeprowadzamy rekonesans miejsca, gdzie Niemcy rozstrzeliliwują skazańców, analizujemy wszystkie szczegóły i ustalamy plan działania. Odmierzamy krokami wszystkie odległości, jakie dzielą nas od miejsca kaźni. Wszystko to zapisujemy. Szukamy odpowiedniego schowka, w którym można by ukryć naszą broń, aby mieć ją w pobliżu miejsca pracy, jak się to mówi – pod ręką. Obliczamy i sprawdzamy możliwości posiadanej broni. Wybieramy odpowiednie stanowiska ogniowe.

Nazajutrz przychodzimy do pracy o czternastej i zostajemy do zmroku. Na razie przyzwyczajamy się do zmiany. Stwierdzamy, że nic nam to nie przeszkadza. A po dwóch dniach konstatujemy, że taki reżim pracy nawet nam odpowiada. Trzeciego dnia biorę z domu w torbie pistolet maszynowy i chowam go w schowku pod wielką sosną, między grubymi korzeniami wystającymi nad powierzchnię ziemi. Karabin przynoszę w nocy owinięty w ceratę. Chowam go w dziupli grubej sosny. Kolejnego dnia zabieram nagan, cztery granaty i lornetkę wojskową. Od tego czasu zaczęło się oczekiwanie na budę niemiecką ze skazańcami. Nadal pracujemy przy swoich sosnach ściągając z nich żywicę. Pierwsze dni są denerwujące, gdyż każdy odgłos silnika samochodowego stawia nas na nogi i wzmaga naszą czujność. W domu matka i ojciec dopytują się, dlaczego pracujemy teraz po południu, a nie do południa. Odpowiadam, że robimy tak dlatego, że osiągamy w ten sposób lepsze rezultaty w ilości ściąganej żywicy. Oczywiście nie jest to prawda. Matka się niepokoi, a ojciec coś podejrzewa, zaś brat czyni aluzje. Trwa to kilkanaście dni. Do naszych serc zakrada się dziwny niepokój. Czasami przychodzi zwątpienie. Myśl o tym, jak to będzie, kiedy przyjadą Niemcy, nie daje mi spokoju. Trudno bowiem przewidzieć wszystkie ewentualności, jakie mogą nas spotkać w tym czasie. I wreszcie kiedy niepokój i zwątpienie dochodzą do zenitu, dwudziestego sierpnia pod wieczór warczy silnik samochodu. Ciężarówka z plandeką zjeżdża z szosy w las.

– Jadą! – krzyczy Stach.

– Po broń, na stanowiska ogniowe biegiem marsz! – wołam.

Zostawiamy w określonym miejscu narzędzia i biegniemy do schowka po broń i lornetkę. Zanim samochód dotarł polną drogą przez las do miejsca, gdzie Niemcy zwykle rozstrzeliliwują więźniów, zajmujemy wybrane z góry stanowiska ogniowe, obserwując cały czas ciężarówkę. W pewnym momencie samochód zatrzymuje się i Niemcy wyładowują z niego swe ofiary. Liczymy. Jest pięciu skazańców i czterech Niemców w mundurach Gestapo. Obserwujemy w napięciu.

– Widzisz, rozwiązują im ręce – mówi Stach półgłosem.

– Widzę, bo ze związanymi rękami nie mogliby kopać dla siebie grobu.

Niemcy wręczają więźniom łopaty. Skazańcy kopią dół. Męczą się patrząc, jak dwóch oprawców ze spokojem stoi przy nich z pistoletami maszynowymi gotowymi do strzału, a trzeci obserwuje teren. Czwarty zaś robi coś przy samochodzie. Kiedy dół sięga skazańcom do piersi żandarm nakazuje im, aby wyszli na górę. Ustawia ich na skraju otworu, a drugi wiąże im nogi i ręce. Następnie obaj odsuwają się na pewną odległość.

– Odeszli od nich. Wał w szkopów. Ognia! – nakazuje Stach w zdenerwowaniu.

Naciskam na język spustowy. Krótka seria leci w stronę żandarmów. Stach strzela z karabinu. Echo terkotu leci po lesie. Stach dla nadania większego wyrazu naszej akcji rzuca granat. Silny wybuch targnął ziemią, a słup dymu i kurzu unosi się do góry, zasłaniając nam na chwilę pole widzenia. Dostrzegam przez lornetkę, że jeden Niemiec leży na ziemi, a dwóch prowadzi w naszym kierunku ogień zza sosen. Ja również prażę do nich krótkimi seriami. Przeszkadzają stojące przed nami drzewa, ale nie ma na to rady. Nagle kierowca ciężarówki wycofuje ją w taki sposób, że zasłania skazańców i leżącego na ziemi Niemca. Pozostali wpędzają swoje ofiary do samochodu. Przerywam ogień, żeby nie razić pociskami naszych. W lornetce widzę, że jeden z Niemców utyka na nogę. Z tego wynika, że jeden szkop jest zabity, a drugi ranny. Dobre i to. Oprawcy zabrali zabitego, swoje ofiary i jadą w kierunku szosy. Jeszcze posyłam im na pożegnanie kilka serii z pistoletu maszynowego celując w samochód. Ale on miga między sosnami, więc kule zostają na nich. Samochód wypada na szosę i gna wznosząc tumany kurzu.

– Zwiali, bandyci! – cieszy się Stach. – Jaka szkoda, że byliśmy za daleko. Odległość jaka była między nami nie pozwoliła na położenie ich trupem.

– Ano, szkoda. Ale nie sędzę, żebyśmy zrobili więcej. Jednego i tak kropnąłeś. Widziałem jak upadł i już się nie podniósł.

– Chyba dobrze oberwał. Celowałem w tego co stał pośrodku nich. I ten upadł. Mnie tylko szkoda tego, że bandyci porwali swoje ofiary. Miałem nadzieję, że zwięją bez nich.

– W każdym razie chyba odechce się im przyjeżdżać tutaj ze swoimi ofiarami.

Padamy sobie ze Stachem w objęcia. Chociaż nie jest to pełny sukces, jesteśmy zadowoleni z tego co się udało zrobić. Idziemy do swych domów z poczuciem zwycięstwa nad grupą okupantów. Obawiając się napotkania kogoś ze znajomych, czy przypadkowych przechodniów w drodze do domu, szybko wycofujemy się z miejsca zasadzki. Broń chowamy w schowkach. Dziś nie zabieram jej do domu – myślę. Obawiam się napotkania kogoś, kto mógłby mnie rozpoznać, względnie jakiejś pogoni. Bez

broni łatwiej się wytłumaczyć skąd wracam. Idę brzegiem lasu rozmyślając. Nie dopuszczam do siebie myśli, żeby Niemcy w nocy przyjechali do miejsca, w którym ich zaatakowaliśmy. Nie są już teraz tacy odważni jak dawniej... Słyszę szczekające psy we wsi. Widzę jak gwiazdy spadają z nieba. I oto gajówka. Czuję się zmęczony w domu jak nigdy. Czekać na kolację zasypiam w ubraniu na łóżku. Za chwilę budzi mnie matka. Żeby nie było zdziwienia, trochę jem, a potem zapadam w mocny sen.

Na drugi dzień spotykamy się ze Stachem i idziemy obejrzeć miejsce akcji. Na ściółce widać jeszcze ślady zakrzepłej krwi. Dziwię się sam sobie, że nie mam wyrzutów sumienia. Po kilku dniach zjawiam się we wsi w gronie chłopaków. Słyszę od nich i od starszych, jak to partyzanci zaatakowali Niemców rozstrzelujących więźniów polskich z miasta w lesie na Papierni. Jedni przypisują to swojej organizacji podziemnej, a drudzy mówią, że było to dziełem ich ludzi i przechwalają się. Opowiadają zmyślane historie. A mnie bierze pusty śmiech. Mam wtedy wielką ochotę powiedzieć im, kto to rzeczywiście zrobił, jakimi siłami i środkami. Ale nie odważam się. Najważniejsze jednak jest, że od tego dnia Niemcy nie pokazali się więcej na skraju lasu i nie przeprowadzali egzekucji. Nasza ziemia nie nasiąka już więcej krwią bezbronnych rodaków.

Wrzesień 1943 roku. Dzień ma się ku końcowi. Stoję przy pniaku i rąbię drwa do pieca. Nagle pies zaczyna ujadać przy budzie. Rozglądam się wokoło, ale nic nie widzę. Nie przerywam swojej roboty. Pies jednak nadal jest niespokojny. Podchodzę do ogrodzenia i przez sztachety lustruję pobliskie krzaki i wrzos. Nic jednak nie widzę. Odczepiam łańcuch od budy i trzymając jego koniec w ręku ruszam z psem do zagajnika. Idę między krzakami i sprawdzam teren. W ręku trzymam kij, aby w razie czego bronić się. Po jakimś czasie natrafiam na spory przedmiot, który przypomina człowieka. Aby mieć swobodę ruchów przywiązuję psa do pnia młodej sosenki. Podchodzę bliżej do leżącego przedmiotu. W świetle latarki ukazuje się człowiek okryty łachmanami. Nie daje oznak życia. Nie porusza się. Robi wrażenie śpiącego. Ujmuję go za ramię. W tym momencie słyszę cichy jęk i jakby bełkot. Żyje – myślę uradowany. Ubranie, w które jest odziany ten człowiek przypomina przyodziewek więzienny. Jego twarz i szyja pokryte są ranami. Przykładam rękę do jego czoła. Doznaję uczucia, jakbym przyłożył ją do rozpalonego żelaza. Ma silną gorączkę. Nie ma wątpliwości, że człowiek ten jest bardzo chory i wycieńczony, więc nie należy tracić czasu, tylko trzeba go ratować, bo wkrótce umrze nam pod domem. Nieważne kim on jest. Później się dowiemy. Nie namyślając się długo podnoszę znalezionego człowieka z ziemi i zarzucam go sobie na plecy. Obejrzawszy się wokoło, czy czasami nie obserwuje mnie ktoś, ruszam z nim w kierunku gajówki. Psa puszczam wolno. Gdyby nie on, człowiek ten zginąłby niechybnie blisko gajówki, na którą pewnie bardzo liczył, o której pewnie myślał, że go ocali. Niosę go bez problemu, gdyż jest lekki. Nieco kłopotu sprawia mi tylko jego długość, ponieważ jego nogi wloką się po ziemi. Po krótkim czasie niezauważony przez nikogo docieram do gajówki i wtaczam się do kuchni. Wchodzi matka z drugiej izby. Zjawiają się zaraz siostry. Okrzyk zdziwienia wyrывa się z ich piersi. Matka zaczyna biadolić.

– Ach, ty zawsze musisz mieć jakieś historie. Dopiero co wyszedł z domu i już ma zdarzenie.

– To co mam zrobić, skoro same przygody się mnie czepiają? Pies zaszczekał raz i drugi. Długo był niespokojny. Spuściłem go więc z łańcucha i zaprowadził mnie do zagajnika, do tego człowieka. Nie miałem sumienia zostawiać go tam. Jeżeli mama chce, to go odniosę z powrotem w to samo miejsce, skąd go wziąłem – mówię nieco urażony.

– Teraz? Czy ty zwariowałeś?! To niech już zostanie – mówi matka.

– Najpierw niech mama da mu coś ciepłego do picia. Najlepiej herbaty. Jeść nie wolno mu dawać dopóki nasz felczer Chrobot z Sakowa nie zobaczy go i nie zbada. Ja zaraz jadę na rowerze do wsi. Ale zanim wyruszę przeniesiemy go z kuchni do drugiej izby, aby go ktoś nie zobaczył tutaj.

Chwytam go z tyłu pod ręce, Krysia za nogi i przenosimy go do drugiej izby. Tam kładziemy na chodniku na podłodze. Za chwilę wyprowadzani rower z szopy i ile sił w nogach, a tchu w piersiach jadę do wsi. Kilka minut i jestem na miejscu. Zdyszany wchodzę do domu lekarza.

– Co się stało, że jesteś taki zdyszany? Czyżby matka znowu zachorowała? – pyta lekarz.

– Tym razem nie matka zachorowała, panie doktorze. Proszę, żeby pan wziął co jest potrzebne do ratowania życia i pojedziemy do gajówki. Znalazłem przy gajówce człowieka, który jest nieprzytomny, ale jeszcze żył, kiedy wychodziłem z domu. Powinniśmy się śpieszyć, bo może być już za późno – odpowiadam jednym tchem.

– Jeśli tak, to jedziemy. Nieraz ratowaliśmy u was w gajówce życie rannym partyzantom, to dziś spróbujemy wyratować znalezionego człowieka – odzywa się felczer.

Przygotowanie felczera do wyjazdu trwa tylko kilka minut. Przypina dużą teczkę do ramy swego roweru, przymocowuje jakieś pudełko do bagażnika i ruszamy do gajówki. Zna wszystkie polne drogi. Nie trzeba go prowadzić. To on decyduje którędy mamy jechać.

– Wolalibyśmy, aby mnie nikt nie widział z kim jadę i dokąd. Nie chcę mieć Niemców zaraz na karku. Donosiciele nie brakuje – mówi felczer wsiadając na rower.

Przechodzimy kilka domostw wzdłuż wsi z rowerami i skręcamy na drogę polną w kierunku młyna. Nikogo nie napotykamy. Przez kilka minut jedziemy polną drogą, przejeżdżamy most przy młynie

i ścieżką przy rzece dojeżdżamy do gajówki. Na miejscu felczer przy lampie naftowej przystępuje do oględzin i badania chorego. Za chwilę stwierdza, że jest on zbyt zaszony, aby go badać dalej. Poleca zmienić mu ubranie. We dwóch zdejmujemy z chorego łachmany i ciepłą wodą zmywamy najbardziej brudne części ciała. Potem zakładamy na niego bieliznę. W międzyczasie zgodnie z zaleceniem felczera oblewam stare łachy naftą i palę w piecu. Niedługo potem dowiaduję się, że uratowany przeze mnie człowiek jest bardzo chory, ma obustronne zapalenie płuc. Ponadto ma wiele czyraków. Jest bardzo wycieńczony. Lekarz zaleca podawać leki, karmić na razie w niewielkich ilościach cztery – pięć razy dziennie. Jeśli chory będzie nabierał sił, porcje jedzenia zwiększać.

– Ale gdzie my go będziemy przechowywali? – martwi się matka.

– Najlepiej byłoby, aby go gdzieś ukryć, nie można go zostawić w mieszkaniu, bo wiadomo co was czeka, gdyby go Niemcy znaleźli. A w każdej chwili można się spodziewać żandarmów z miejscowych posterunków. Tym bardziej, że słyszałem, iż zbiegła większa liczba jeńców wojennych z obozu na Bukówce pod Kielcami. Być może, że ich będą szukać w okolicy. Najlepszym miejscem byłby strych w oborze. Tam jest najcieplej, gdyż ciepło idzie do góry od zwierząt domowych. Jeśli przetrzyma tę wysoką gorączkę, będzie żył. Dałem mu już zastrzyk i jeden lek. Po drugi lek Adam pojedzie do mnie, bo go zapomniałem wziąć ze sobą. Ja będę wpadał wieczorami do was w pierwszych dniach. Zapisalem na kartce, jak mu podawać leki.

Jeszcze tego wieczoru biorę się za przygotowanie skrytki w oborze. Na noc organizuję prowizoryczne legowisko. Ponieważ brak jest światła, kryjówkę urządzam z nastaniem dnia. Zabiera mi to kilka godzin. Matka z początku gdera, że przywlokłem do gajówki nieszczęście, odgraża się, że nie będzie się nim opiekowała. Nie kłócę się z nią, gdyż wiem, że to nic nie pomoże, a jeszcze pogorszy sytuację. Jeszcze jakiś czas mi to wypomina, ale po kilku dniach oswaja się z nową sytuacją i już nie dokucza. A potem? Przez kilka pierwszych dni mój podopieczny ma wysoką temperaturę. Kiedy zaglądam do niego słyszę jak majaczy. Leży nieruchomo na posłaniu. Felczer przyjeżdża do niego prawie każdego dnia. I wreszcie chory zaczyna przychodzić do siebie. Zaczyna mnie rozpoznawać. Można się już z nim porozumieć. Jednak jest taki słaby, że nie może się podnieść w swym legowisku, aby usiąść. Pomagam mu w tym. Prosi, abym częściej przychodził do niego. Ja zaś w miarę posiadanego czasu wdrapuję się po drabinie na oborę i przebywam jakiś czas na jej strychu. Wreszcie któregoś dnia zaczął mi opowiadać o sobie po rosyjsku. Nie wszystko mogę zrozumieć, ale pojmuję kim jest i co u nas robi. Z fragmentów jego wypowiedzi wynika, że jest jeńcem wojennym. Niemcy wzięli go do niewoli w bitwie pod Kurskiem i umieścili w obozie jenieckim przy koszarach wojskowych pod Kielcami. Stąd uciekł.

– To ja ciebie znalazłem w lesie i przyniosłem na plecach do gajówki – oznajmiam mu.

– Gowori na mienia Wołodij – mówi zbieg podając mi rękę.

A potem powoli, w miarę upływu czasu nasz gość przychodzi do zdrowia. Nabiera sił. Moja opieka, felczera i ojca, no i oczywiście matki dają dobre wyniki. Po dwóch tygodniach mój podopieczny jest już na tyle silny, że przy mojej pomocy podnosi się z legowiska i przechodzi się kilka kroków. Jeszcze drży jak osika. Następnie po kilka razy dziennie przechadza się już o własnych siłach na strychu. Ćwiczy chodzenie jak małe dziecko. Później jada razem z nami. Ojciec i matka znają dość dobrze język rosyjski, więc toczy się rozmowa. Ojciec prosi go, żeby opowiedział o sobie, w jaki sposób dostał się na teren Polski. Gość szczegółowo opowiada o swoich tragicznych przeżyciach z ostatnich miesięcy. Przy okazji szczerze dziękuje nam za okazaną pomoc. Od tego dnia między mną a nim zawiązuje się przyjaźń. Mimo mojej słabej znajomości języka rosyjskiego, a przez niego polskiego jakoś sobie radzimy. Wołodia nie przebywa już w czasie dnia na strychu obory. Chodzi tam tylko na noc. Ze mnie spada główny kłopot – nie noszę mu już posiłków. Żyje wśród nas. Traktujemy go jak jeszcze jednego członka rodziny. Pomaga nam w obejściu i gospodarstwie przygajówkowym. Zdajemy sobie jednak sprawę z tego co nam grozi za ukrywanie zbiega z obozu jenieckiego, więc wzmagamy czujność. Kiedy pies sygnalizuje nam zbliżanie się kogoś obcego, Wołodia schodzi do piwnicy pod podłogą kuchni.

Po nabraniu sił Wołodia zaczyna pomagać nam w gospodarstwie. Przynosi więc wodę z rzeki, obiera ziemniaki, piłuje i rąbie drwa do pieca, miele żyto w młynku, a potem pomaga nawet przy produkcji z żywicy terpentyny i kalafonii w mojej „fabryczce”. Potem umawiamy się, że za dnia będzie się zajmował wyłącznie produkcją kalafonii. Robota z każdym tygodniem idzie mu coraz lepiej. Nabiera dużej wprawy. W ciągu tygodnia otrzymuje kilkadziesiąt kilogramów kalafonii i kilkanaście litrów terpentyny. Ale tu pojawił się problem – jak taką ilość dostarczać do miasta? Ale i na to znalazł się sposób. W każdy wtorek i piątek odbywają się jarmarki i targi. Wówczas ludzie z okolicznych wsi jadą masowo furmankami do miasta, by coś zawieźć lub przywieźć. Obserwacje wykazują, że w tych dniach Niemcy nie rewidują w zasadzie furmanek chłopskich. Przyzwalają na ograniczony handel między wsią i miastem. Ale na wszelki wypadek ładunek postanawiamy maskować. Służą do tego wiązki rozdrobnionego drewna na podpałkę, które są wywożone masowo ze wsi do miasta prawie na każdej furmance po kilkadziesiąt sztuk. W każdy wtorek i piątek ładujemy więc worek kalafonii na środek furmanki w taki sposób, żeby leżała ona płasko na dnie, przykrywamy ją wiązkami drewna i jazda.

Patrząc na taką furę wydaje się, że nic innego nie znajduje się na niej, tylko samo drewno. Zwykle ja jadę na rowerze pierwszy, a mój nieletni jeszcze brat furmanką w odległości około trzystu metrów. Znajdując się w odpowiedniej odległości jeden od drugiego, nie zwracamy niczyjej uwagi. W razie potrzeby, gdyby żandarmi rewidowali na Bukówce, można by było w porę ostrzec brata o groźnym niebezpieczeństwie.

Teraz za każdym takim wyjazdem z kalafonią kasuję sporą sumę pieniędzy u drogerzysty. Potem część z nich otrzymuje Stach. Trochę zostawiam sobie, a resztę daję matce. Wołodii kupuję ubranie i buty za pomoc przy produkcji kalafonii. Od tego czasu w niedzielę pojawia się w domu wędlina i mięso z pokątnego handlu i uboju, jaki kwitnie w okolicy.

Po całkowitym nabraniu sił Wołodia okazuje nam na każdym kroku wdzięczność za uratowanie mu życia. Podkreśla to i pokazuje przy każdej okazji. Ja zaś znalazłem w nim bratnią duszę. Któregoś wieczora Wołodia rozkłada na stole znalezione w regale między moimi książkami mapkę z geografii i pokazuje nam marszrutę, zgodnie z którą zamierza udać się na wschód. Oblicza odległość jednej miejscowości do drugiej.

– Dobrze mi tu jest u was i z wami, bo nawet Adam ubrał mnie w nowe ubranie i buty i żywicie mnie, ale nie mogę nadal narażać was i siebie na ciągle niebezpieczeństwo. Już w tym okresie, w którym jestem u was zorientowałem się, w jakiej żyjecie sytuacji. Pies zaszczeka, a my wszyscy stajemy na równe nogi myśląc, że Niemcy idą już po mnie. Takie życie to jedno pasmo udreki.

– A co ty myślisz, że teraz poszedłbyś sobie jak turysta od miasta do miasta, od wsi do wsi, nie niepokojony przez nikogo? – pytam.

– Szedłbym tylko lasami.

– Wydaje ci się, że lasy są wszędzie, że nie ma przerw między nimi? A czym byś się żywił? Gdzie byś spał? Przecież front jest jeszcze dość daleko, bo dopiero odbyła się bitwa pod Kurskiem. Armia Czerwona goniąc wroga jeszcze nie doszła do granic polskich sprzed wojny. Dlatego twój marsz w kierunku frontu to istne samobójstwo, bo wszędzie jest teraz pełno Niemców.

– Może masz rację, ale zanim nasi przyjdą tu, to ja zdechnę z nieróbstwa. Poza tym, zanim by nasi przyszli, ja chciałbym zmasać swoją winę, że poddałem się do niewoli germańskiej. Moi mogą mi nie uwierzyć, że dostałem się do niewoli kontuzjowany. Mogą mi zarzucić, że dekowałem się u was tak długo...

– Jeśli tak uważasz, to ja postaram się, abyś dołączył do któregoś z naszych oddziałów partyzanckich. Zanim front dojdzie do Wisły ty będziesz się mógł wykazać w walce z Niemcami, naszymi wspólnymi wrogami. Dobrze? – zaproponowałem.

Wołodia bardzo się ucieszył. Od tej pory wieczorami po pracy spędzamy czas na rozmowach i pogawędkach na różne tematy, o różnych sprawach przy lampie naftowej lub karbidowej mojej konstrukcji. Czasami muzykujemy na skrzypcach, gitarze i bębenu. Okazuje się, że Wołodia jest dość dobrym gitarzystą. Gramy w karty, w Chińczyka lub czytamy gazetki podziemne. Chińczyka wykreśliłem na stole cyrklem, a pionki do niego wykonałem z drzewa na tokarce własnej roboty i pomysłu. Nie zapominam również o książkach. Do tej pory przestudiowałem już wszystkie książki i broszury zakazane przed wojną za sanacji, jakie ojciec przechowuje w skrzynce szewskiej z podwójnym dnem. Dużo czasu poświęcam też na rozmowy z Wołodią o jego kraju. Dowiaduję się przy tym wielu ciekawych dla mnie rzeczy...

Dzień jarmarczny. Świta. Ładujemy kalafonię na furmankę. Jedziemy do miasta. Który to już raz? Czwartą w tym roku. Mietek powozi koniem. Ja jak zwykle na rowerze według ustalonego planu – kilkaset metrów z przodu. Wieziemy pełną furę wiązek drewna na opał. Worek z kalafonią pod nimi. Słońce już weszło, kiedy dojeżdżamy do podnóża góry na Bukówce. Widać koszary wojskowe. Jasny gwint – żandarmi rewidują furmanki! Wyrzucają z nich wszystko na ziemię. Co robić? Trzeba jak najszybciej zawrócić, bo wpadniemy. Niemcy tego nie widzą. Operują na górze. Serce łomocze mi w piersiach. Zawracam rower, siadam na niego i puszczam go wolno z pochyłości góry. Dojeżdżam do brata.

– Zawracajmy, bo Niemcy rewidują na Bukówce furmanki.

Rozglądamy się na wszystkie strony. Jest polna droga., która styka się z szosą. Brat podcina konia i skręca w nią. Jedziemy wśród pól do brzegu lasu. Jeszcze kawałek drogi i gajówka. W domu jeszcze śpią. Nie mówimy o tym matce. Narobiłaby lamentu. Udało się uniknąć rewizji, ale nie udało się dowozić kalafonii do celu. Jeszcze tego dnia jadę do miasta na rowerze i opowiadam o tym drogerzyście.

– Najważniejsze, że nie wpadliście w ich łapy. A my i tak damy sobie radę. Od dziś w każdy poniedziałek przed wieczorem mój młodszy brat będzie przyjeżdżał do gajówki na rowerze i zabierał od ciebie kalafonię...

Upłynęło kilka dni. Jest noc. Po długim oczekiwaniu zjawia się wreszcie w gajówce oddział partyzancki z Armii Ludowej. Przyszli na nocleg. Jak zawsze, tak i tym razem matka przygotowuje im kolację, a ja przynoszę słomę ze stodoły, aby przygotować posłanie dla dziesięciu ludzi. Po kolacji partyzanci odpoczywają. Rozmawiamy na różne tematy. Najbardziej interesuje domowników, kiedy

wreszcie nadejdzie front. Niestety, partyzanci również tego nie wiedzą. Jedni twierdzą, że pod koniec roku, a drudzy, że latem przyszłego roku. Trwa jałowy spór.

– Mam do was prośbę – mówię w pewnym momencie. – Uplywają już dwa miesiące jak przechowujemy w gajówce zbiega z obozu jenieckiego na Bukówce. Doszedłszy do normalności, pragnie dostać się do jakiegoś oddziału partyzanckiego. Nie chce czekać aż nadejdzie front. Twierdzi, że gdyby nie został kontuzjowany i był w pełni sprawny, nie znalazłby się w niewoli niemieckiej.

– Skoro się tak wyraża, być może jest porządnym człowiekiem. Gdzie on jest teraz? – pyta dowódca.

– W tej chwili znajduje się w kryjówce – mówię.

Za chwilę biegnę po Wołodę. Gdy obaj wchodzimy do mieszkania wszystkie twarze zwracają się w naszą stronę. Zalega cisza. Przedstawiam partyzantom naszego podopiecznego.

– Dobry wieczór! – Wołodia pozdrawia wszystkich i melduje się po wojskowemu dowódcy oddziału.

– Podobno pragniecie się przyłączyć do jakiegoś oddziału partyzanckiego? – pyta dowódca podając mu rękę i wskazując na krzesło. Uśmiecha się.

– Tak. Bardzo pragnę dostać się do oddziału partyzanckiego. Dlaczego, to chyba Adam wam już powiedział...

– Tak, powiedział. Wobec tego przejdziemy do drugiej izby i porozmawiamy. Mój zastępca ze mną.

Przechodzą do drugiej izby we trzech. Rozmawiają kilka minut, po czym otwierają się drzwi z pokoju i przechodzą przez kuchnię do izby, w której partyzanci przygotowują się do snu.

– Chwileczkę, koledzy. Cisza. Do naszego oddziału pragnie się dołączyć ten oto kolega, którego widzicie – żołnierz Armii Czerwonej, jeniec wojenny, z wojska porucznik, który uciekł z obozu jenieckiego znajdującego się na Bukówce. Na imię ma Włodzimierz. Mówią mu Wołodia. Jeśli wyraziacie zgodę na jego przyjęcie do naszego oddziału, to od tej chwili będzie naszym żołnierzem, partyzantem, towarzyszem, przyjacielem na dobre i złe.

– Dlaczego by nie?! Trzeba go przyjąć – odzywają się głosy.

– A więc kolego, jesteście żołnierzem naszego oddziału. Od tej chwili będziemy mówić na was „Wołodia”. To będzie wasz pseudonim. Dobrze?

– Dobrze, bracia moi! Dziękuję! – woła uradowany Wołodia. Biegnie na strych obory, zabiera swoje rzeczy i przenosi się do izby, w której partyzanci kładą się już do snu. Dowódca wyznacza mu miejsca do spania. Nadchodzi północ. Dowódca zmienia wartownika i ogłasza capstrzyk.

Ja też idę spać. Jest mi trochę smutno i niewyraźnie, że opuszcza nas już mój przyjaciel Wołodia, do którego przyzwyczaiła się cała rodzina. Trudno mi sobie wyobrazić jak to będzie teraz bez niego. Ileż miałem pomocy z jego strony. Pomógł mi w produkcji kalafonii. Czego ja nie zrobiłem w gospodarstwie, bo nie mogłem, to on zrobił. Jak członek rodziny. Rąbał drwa prawie codziennie. Przynosił wodę z rzeki, bo nie ma na podwórku studni. To nie tak jak Mietek czy ojciec, którzy tylko patrzyli na mnie, że ja to zrobię, bo jestem najstarszy i ja to umiem. Trudno się doprosić ich, aby mi coś pomogli. Jednym słowem Wołodia był lepszy, niż rodzony brat. Mimo wszystko czuję się również jakby lżejszy, bo nie będziemy już żyli jak na minie z jego powodu. Mógł przecież go ktoś przyuważyć, jakiś szpicel i donieść do Niemców czy do granatowej policji. Od dnia dzisiejszego już nam to nie będzie groziło. Pozostanie za to wielka satysfakcja, że uratowaliśmy dobrego, porządnego człowieka.

Budzę się. Czuję zapach słoniny i cebuli. Matka musi nakarmić kilkanaście osób. Dziesięciu partyzantów i sześcioro domowników. Pali się już pod kominem. Wszyscy powstawali. Matka i Krysia nalewają do talerzy. Podają razowy chleb. Jest również kawa zbożowa zrobiona domowym sposobem. Pół godziny i jest po śniadaniu. Partyzanci szykują się do wymarszu. Wśród nich Wołodia. Spoglądam na niego – uśmiecha się. Chwila pożegnania, Wołodia żegna się z domownikami serdecznie jak członek rodziny. Dziękuje za wszystko co zrobiliśmy dla niego. Przysięka, że się odezwie, jeśli przeżyje wojnę. Moja matka ma łzy w oczach, jakby żegnała swego syna. Wtyka mu do ręki zawiniątko, w którym jest komplet bielizny, ręcznik, mydło. W drugim zawiniątku jest bochenek chleba, dziesięć jaj ugotowanych na twardo, masło i kostka sera białego. Niektóre produkty kupione w mieście za pieniądze ze sprzedaży kalafonii, w produkcji której i on brał udział. Partyzanci przyglądają się scenie pożegnania z uśmiechem i życzliwością. Za chwilę dowódca oddziału daje znak do wymarszu z gajówki. Zagłębiają się w pobliskim zagajniku. I ja wychodzę z nimi. Odprowadzam ich do zagajnika. Wołodia odchodzi od grupy i kieruje się do miejsca, gdzie znalazłem go nieprzytomnego. Klęka i całuję ziemię. Gest ten podoba się wszystkim. Po chwili zjawia się podekscytowany. Ściskamy się jeszcze raz na pożegnanie...

Któregoś dnia budzi mnie skomlenie psa. Pewnie zobaczył matkę i tak kwili do niej na powitanie – myślę. No, dosyć tego wylegiwania się, trzeba wreszcie wstawać. Trzeba przynieść wody z rzeki i narać dREW na cały dzień. Nie można zostawić matki bez dREW i wody. Gdyby był Wołodia, to na pewno on by to zrobił. Ubieram się. Co to za dudnienie? Kto to biegnie? Skrzypią drzwi. To matka wpada do kuchni.

– Matko jedyna! Niemcy idą od lasu i od rzeki. Z dwóch stron. Uzbrojeni od stóp do głów. Chyba idą do nas!

Jednym skokiem jestem przy oknie. Tak, rzeczywiście idą. Jest ich kilkunastu. Robi mi się sucho w gardle. Pies rzuca się na łańcuchu. Na polecenie matki razem z Mietkiem ubieramy się szybko. Jeszcze nigdy Niemcy o tej porze nie byli w gajówce. Pistolety mają w pogotowiu. Strasznie wyglądają w tych swoich hełmach. Jakby szli kogoś zabijać. A może idą zabijać nas? Chcą nas chyba złapać na spaniu. Chytre dranie. Boże, jak to dobrze, że nie ma już Wołodii. Chyba byśmy poumierali ze strachu. Czyżby ktoś podkablował, że go trzymaliśmy w domu? A może chodzi im o moją „fabryczkę” kalafonii? Dobrze, że nie trzymam kalafonii w domu, ani kawałka. Tylko w młodniku i schronie. A gdzie moja broń? Schowana jest w lesie. A gdzie gazetki podziemne? Schowane pod podłogą. Chyba jej nie będą zrywali. Ciekawe, co będą chcieli od nas, diabły.

Podnoszę wąż za piecem w kuchni. Spuszczam się z bratem do dołu i już jesteśmy w schronie. Rodzice zemknęli wąż. Słychać szuranie po podłodze. Przesuwanie kredensu na wąż, tak dla niepoznaki. Żeby tylko ci bandyci nie mieli ze sobą psów, bo mogłyby nas wywąchać. W środku czuć stęchliznę, wilgoć i chłód. Jest ciemno, nie widać nawet własnej ręki. Mam jednak latarkę elektryczną. Nie zapominam o niej. Zawsze wisi na ścianie w kuchni przy włączniku. Nie wolno jej ruszać nikomu. Jeśli nie znajdą tego schronu, to przeżyjemy. Już ich słychać. Słychać psa i dudnienie na podwórku. Skrzypienie drzwi. Ktoś wchodzi do kuchni. Kilka osób. Podłoga trzeszczy pod buciorami. Mówią coś. Nasłuchujemy.

– Co to za domostwo?
– Gajówka państwowa.
– A wy kto?
– Gajowy lasów państwowych.
– Partyzanci, bandyci są?
– Nie ma, panie, to gajówka państwowa. Tu nikt nie przychodzi. Boją się mnie. Nie wolno im tu przychodzić.

– A jeśli znajdziemy kogoś?
– To szukajcie. Proszę bardzo. Możecie szukać do woli.
– Kapitan pyta także, czy są u was ruscy jeńcy wojenni. Rozumiecie?
– Rozumiemy. Ale nic takiego u nas nie było i nie ma. Jeśli znajdziecie kogoś, to nas rozstrzelacie.
– Pan jest za bardzo pewny siebie...
– Bo wiem, co mam w domostwie.
– Wierzmy wam, ale na wszelki wypadek przeszukamy gajówkę.

Jasny gwint! Idą przeszukiwać kąty. Żeby tylko nas nie znaleźli. A jeśli znajdą, to co im powiedzieć? Pies szczeka. Długo szukają. Czekamy. Nerwy mam napięte. Chłodno w piwnicy. Gdy sobie pójda, wrzucę tu słomy i trochę siana, żeby było cieplej. Na razie jednak nie spieszą się dranie... Znowu skrzypią drzwi. Słychać szuranie butami.

– No, macie szczęście. Nic nie znaleźliśmy. Ten ktoś, który nas informował, że u was coś znajdziemy, dostanie baty, albo pójdzie do obozu pracy. Ale pan kapitan ostrzega, że jeśli drugim razem znajdziemy kogoś u was, gajówka pójdzie z dymem, a wy do obozu lub zostanieie rozstrzelani.

– Dobrze, nikogo nigdy nie znajdziecie – mówi ojciec.
– Pan kapitan pyta, czy te kobiety to wasze?
– Tak, to tutejsze. To moja żona, a to córki.
– Za dużo ich macie. Nic tu nie robią. Jedną trzeba posłać do Niemiec, albo do nas. Tę dorastającą córkę. Potrzebna jest nam taka młoda do sprzątania. Zarobi dobrze.
– Kiedy one są tutaj potrzebne w gospodarstwie i w lesie przy pielęgnacji sadzonek, drzewek. To też bardzo ważna sprawa. Gdyby nie one, nie byłoby lasu – replikuje ojciec.
– Tak, dobrze, dobrze. A ile ona ma lat?
– Dopiero piętnaście.
– Trochę jeszcze za mało. Przyjdzie do nas, kiedy będzie miała szesnaście.

Słychać szuranie butami po podłodze i dudnienie. Drzwi skrzypią i następuje cisza. No, poszli dzięki Bogu. Dobrze, że się nie przyczepili czegoś, na przykład młynka. Może go nie spostrzegli dranie. Ale teraz widocznie nie w głowie im już takie rzeczy jak młynek. Teraz głowią się, jakby znowu pognać Rosjan. Ale tym razem Rosjanie ich już gonią...

Rok 1944 zaczął przynosić nadzieję ludziom biednych wsi Gór Świętokrzyskich na rychłe wyzwolenie spod jarzma hitlerowskiego. Niemcy ponoszą klęskę za klęską na froncie wschodnim. Dowodem tego jest między innymi wzmożony ruch pociągów pełnych rannych żołnierzy. Wiosną i na początku lata wojska radzieckie prowadzą jedna za drugą operacje zaczepne przeciwko wojskom niemieckim. Już od wiosny daje się zauważyć początki niedowładu administracji okupanta. Tym razem widać dobrze, że Niemcy nie są już tacy buńczuczni, arogancy, zarozumiali, wyniośli, pewni siebie i krzykliwi jak poprzednio. Rozśmiesza nas to i sprawia satysfakcję. Nie brakuje na ten temat dowcipów wśród naszych ludzi.

Tymczasem front zbliżający się do linii Wisły potęguje w społeczeństwie polskim wolę powszechnej walki z okupantem. Chętnych do walki jest coraz więcej. Ochotnicy wstępują do oddziałów partyzantycznych. Niemcy czują wyraźny respekt wobec partyzantów. A tymczasem oddziały te wymierzają im już systematycznie, krok po kroku sprawiedliwość. Albowiem coraz częściej wylatują w powietrze pociągi niemieckie, dowożące do frontu rezerwy ludzkie i sprzęt wojskowy.

Godziny popołudniowe. Przylegający las jakby zamienił się we front. Głuche detonacje wstrząsają nim aż echo niesie. Seria po serii i wybuchy granatów rozlegają się po całym lesie. Odgłosy walki stawiają nas na nogi. Ale już po półgodzinnej strzelaninie wszystko cichnie. Co to może być? Wyglądam oknem uchylając zasłonę.

– Niemcy idą do nas – mówię. – Tym razem nie będę się chował. Jak mama myśli?

– Chyba nie. Jesteś tylko jeden z mężczyzn. Nie powinni się ciebie czepiać.

Stoimy w kuchni i wyglądamy oknem. Małe grupki Niemców idą w naszym kierunku i niosą między sobą zabitych i rannych. Już wchodzą na podwórko. Słyszą gwar męskich głosów. Nie wywołują nikogo z gajówki. Sami otwierają sobie wrota stodoły i wnoszą kilka noszy zrobionych z gałęzi. Zabitych składają na gołej ziemi, a rannych zostawiają na noszach. Patrząc na zabitych i rannych z początku czuję w sobie litość. Ale po chwili jakbym się zbudził ze snu, zaraz przychodzi do mnie zaciętość, przesywająca mnie na wylot, aż do bólu, do szpiku kości. Czy po tak długim okresie zbrodni wyrządzanych nam przez okupanta można mieć dla nich jakąkolwiek litość?

Niemcy nie żądają nic, więc nie wychodzimy do nich. Trudno bowiem przewidzieć, jakie mają zamiary. Sami rządzą się w stodole. Rozkładają słomę dla rannych i opatrują ich. Psa zapędzili do budy. Siedzi teraz w niej i tylko poszczekuje. Ani przez chwilę nie mam wątpliwości, że wejdą do domu. Z daleka za gajówką widzę dwóch Niemców przy ręcznym karabinie maszynowym. Boją się, aby ich znowu partyzanci nie zaatakowali. Ubezpieczają się na wszelki wypadek – myślę. Wreszcie słyszę szuranie butów w sieni. Do kuchni wchodzi dwóch drabów w hełmach z bronią gotową do strzału. Jeden z nich to oficer, drugi podoficer. Mówi do nas po niemiecku. Nie wszystko rozumiem, ale ogólnie zrozumiałem, że chodzi o partyzantów. Znam już nieco język niemiecki, gdyż uczę się go już cztery lata, odpowiadam więc, że w gajówce partyzantów nie było i nie ma. Oficer zwraca się następnie do matki, czy ma może kwaśne mleko. Mówię do niej o co mu chodzi. Matka biegnie po śpiżarni i niesie duży garnek. Niemcy nabierają sobie mleka w garnuszki i piją łapczywie. Spoglądam w okno. Stwierdzam, że na podwórko wchodzi jeszcze jedna grupa żołnierzy. Ci także niosą zabitych i rannych. Nie wnieśli ich jednak do stodoły, gdyż nie ma w niej już miejsca. Stawiają nosze na podwórku przed stodołą. Po chwili wchodzi jeszcze jeden postawny oficer, na widok którego pozostali trzaskają kopytami. Obchodzi wszystkie izby domu i wraca do kuchni. On również częstuje się zsiadłym mlekiem. Potem pyta czy mamy konie lub rower. Odpowiadam, że mam rower. Każe mi go oddać. W pierwszej chwili zastanawiam się, na co żandarmowi rower. Ale kiedy jeden z Niemców krzyknął, że mam szybko po niego iść, wybiegam z domu do szopy. Za chwilę prowadzę rower. Ci, którzy byli w domu wyszli na podwórko. Starszy oficer kiwa palcem na jednego z żandarmów i daje mu polecenie, aby wsiadł na rower, pojechał na nim do wsi i przyprowadził pięć furmanek dwukonnych do gajówki. Tymczasem pozostali żandarmi wałęsają się po obejściu. Zaglądają nawet na strychy domu i obory. W pewnej odległości od obejścia sterczą trzy lekkie karabiny maszynowe, a przy nich leżą żandarmi. Niektórzy coś robią przy rannych.

– Ale się boją teraz ci bandyci. Nie są pewni siebie jak dawniej. Ale się wszystko zmienia. Nawet oni się zmieniają. Ci są wyjątkowo spokojni. Nie wrzeszczą na nas. Nie są arogancy. Cóż, Rosjanie ich biją, nasi partyzanci nie dają im u nas żyć. Jeszcze trochę i w ogóle będzie koniec z nimi – odzywam się do matki.

Nie upłynęła nawet godzina, kiedy na drodze polnej ukazało się pięć furmanek. Zajeżdżają galopem na podwórko gajówki. Z koni bucha para. Na podwórku robi się ruch i wrzawa. Niemcy przekrzykują się nawzajem. Padają rozkazy i polecenia. Odbywa się ładowanie na furmanki. Liczę – jest ośmiu zabitych i dziewięciu rannych. Dwie furmanki załadowano zabitymi, a trzy rannymi. Ruszyli kolumną polną drogą do miasta. Tym razem ci Niemcy nie grozili, że nas rozstrzelają jak poprzedni, którzy byli w gajówce. Nawet rower otrzymałem z powrotem.

Idzie czerwiec. Ludzie przygotowują się do zniw. Gdzieniedzie już koszą. Robota w polu i w lesie. Inspektor od żywicowania wyciska z nas nadal co się tylko daje. Jak zwykle nacinamy dalej drzewa, żeby leciała z nich żywica. Przybywa na nich nacięć w postaci żeberek. Nagle słyszę motorynkę. To inspektor jedzie z miasta do nas. Okulary, które nosi na swym wielkim nosie błyszczą z daleka, jak reflektory. Podchodzi do nas. Nawet nie mówi „dzień dobry” jak mówił zwykle. Bez wstępu zabiera się do kontroli. Jednakże jak się okazuje, rezultaty są nadal marne. Nadal „partyzanci zabierają nam żywicę” i tłuką naczynia – tłumaczmy.

– Macie naczynie blaszane do wszystkich sosen? – pyta.

– Nie, nie mamy panie inspektorze.

– Na dniach zostaną wam dowieszone przez leśniczego. Natychmiast je założyć. Macie pilnować waszych odcinków pracy, żeby nic nie zginęło. Nic mnie to nie obchodzi, że partyzanci wam przeszkadzają w robocie. Żywica ma być i koniec. Załatwajcie sobie to z nimi jak chcecie. Państwo niemieckie potrzebuje dużo żywicy. A w ogóle to wy wszyscy jesteście partyzantami. Przyjadę do was za tydzień. Jeśli stwierdzą znowu sabotaż, to biada wam! – krzyczy swoim piskliwym głosem.

– Ależ panie inspektorze, my nie znamy żadnych partyzantów. A to co pan mówi o nas, to zwykłe bzdury. Z jakiej racji my mamy cierpieć za kogoś? Oni przecież mają broń, a my co? Nic. A w ogóle gdzie ich szukać? Jeszcze lanie możemy dostać od nich, albo i kulkę w łeb, jeśli będziemy zbyt gorliwi – mówi Stach.

– Wy wszyscy jesteście partyzantami, wszyscy jednakowi. Co za naród. To Niemcy swoją pierśią, krwią osłaniają nas przed bolszewicką zarazą, a wy co? Czy wy nie rozumiecie tego?

– Nie, nie rozumiemy panie inspektorze, bo nawet nie wiem co to jest takiego ta bolszewicka zaraza.

– Ach wy ciemniaki! Po co więc z wami gadać? – Inspektor Wacek podpiera się rękami pod boki i spogląda na nas z ukosa drwiąco i podejrzliwie, po czym rusza w kierunku roweru.

– A to skur... – perzy się Stach. – Trudno będzie z nim wytrzymać przez te ostatnie dni panowania u nas Niemców.

– To przekłety służbista, kolaborant, sługus niemiecki – odzywam się poirytowany. – Czy nie należałoby mu wlać, kiedy przyjedzie jeszcze do nas?

– Nie ma innej rady. W przeciwnym wypadku może nas jeszcze wykończyć ten drań – denerwuje się Stach.

Nie minęło wiele czasu, gdy któregoś dnia siedząc w gajówce słyszę głucho dudnienie. Już wiem, że to zbliża się front. Od tego dnia dudnienie trwa tydzień. Kiedy słycać je bardziej, wybiegamy na podwórko i nasłuchujemy. W nocy ukazuje się na wschodniej stronie poświata, jakby luna. W końcu lipca 1944 roku różnego rodzaju odgłosy ustają prawie zupełnie. Teraz słycać tylko od czasu do czasu pojedyncze wystrzały armatnie lub z granatników. Są dni, kiedy dochodzi do nas również terkot ciężkich karabinów maszynowych. Stąd wnioskujemy, że do linii frontu nie mamy więcej niż trzydzieści kilometrów. Trzeba się więc solidnie zabrać za budowę bunkra, w którym mogłaby się pomieścić cała rodzina. Musi być wybudowany niezwłocznie, taki duży jak pół kuchni. Tylko kto go wykona? Ojciec ma obie ręce lewe do takiej roboty. Jemu tylko w głowie las, nic więcej. Młodszy brat też nie rwie się do takiego czynu. Ciekawe, jak to będzie? Jedna siostra już pannica, ale to przecież dziewczyna. Druga zaś, to jeszcze dziecko. Jeśli ojciec i Mietek wezmą się do tej roboty, to i ja. A jeśli nie, to sam tego przecież nie zrobię. Jest to bowiem poważna robota – myślę. Potrzebny jest wóz i koń, żeby przywieźć z lasu potrzebne kłocze na oszalowanie takiego schronu.

– Nie martw się, ojciec i Mietek ci pomogą – mówi matka. – Moja w tym głowa. Pomyśl jak zrobić to wszystko. Przygotuj na kartce odpowiedni plan.

A tymczasem Rosjanie przeprawiwszy się 30 lipca przez Wisłę koło Baranowa, mimo dużego oporu Niemców, opanowują przyczółek na jej zachodnim brzegu i zalegają naprzeciw nas. Przez kilka dni Niemcy robią wszystko, aby zepchnąć Rosjan do Wisły, ale im się to nie udaje. W tym też czasie zostaje zdobyty Sandomierz. Front sięga teraz do Rakowa, odległego do nas zaledwie o 30 kilometrów. Na Kielecczyźnie zawrzało. Głośnym echem odbijają się w okupowanej jeszcze części kraju wystąpienia zbrojne oddziałów partyzanckich Armii Ludowej, Armii Krajowej i Batalionów Chłopskich w okolicach Pińczowa i Miechowa. Teraz prawie codziennie dochodzą do nas wieści o rozbrajaniu posterunków żandarmerii niemieckiej i granatowej policji. To nas cieszy. Wiadomościami tymi karmimy się chciwie, jak głodny chlebem.

Coś mnie ponosi. Nie mogę usiedzieć w domu. Trudno mi się pogodzić z tym, że tam nasi wymierzają karę okupantowi, a ja tkwię pod lasem beczynnie, nie biorąc udziału w wyzwaniu kraju. Od kilku miesięcy nie mam kontaktu ze swoimi oddziałami z Armii Ludowej i nie wiem, co się z nimi dzieje. Czyżby ten oddział, z którym miałem łączność został przez Niemców rozbity? A może coś się zmieniło w organizacji? Już od dłuższego czasu nie mam żadnych instrukcji, poleceń, zadań. W każdym razie coś się tam musiało stać. Dlatego nie ma co czekać na jakieś polecenia. Trzeba samemu coś robić. Biegnę więc do wsi przez pola. Kontaktuję się z kolegami, z którymi chodziłem do szkoły przed wojną. Rozmawiamy o tym, co się dzieje. Namawiam ich do wyjazdu na rowerach w okolice Pińczowa, aby pomóc naszym w sąsiednich powiatach. Informuję ich, że partyzanci różnych ugrupowań wyzwolili już znaczne tereny na zachód od Wisły i że została utworzona tam tak zwana Republika Pińczowska, w której nasi sprawują władzę. Nie ma tam Niemców.

Udaje mi się namówić trzech kolegów ze wsi do wyruszenia do sąsiadującej z naszym rejonem Republiki Pińczowskiej, z zamiarem zaciągnięcia się do zgrupowania partyzanckiego. Pragniemy i my wziąć udział w oczyszczaniu terenu z administracji niemieckiej i z tego wszystkiego, co jest na usługach okupanta. Ustalamy termin wyjazdu. W ustalonym dniu Stach, Bolek, Józek i ja wsiadamy na rowery i z małymi tobołkami bez broni ruszamy polnymi drogami, lasami, pomiędzy stacjonującymi tu i ówdzie wojskami niemieckimi w kierunku Pińczowa. Po kilku godzinach docieramy do celu. Z trudnoś-

ciami przedzieramy się przez strażę i patrole do dowództwa zgrupowania partyzanckiego, co chwila legitymując się i wyjaśniając skąd jesteśmy i w jakim celu przybywamy. Niektórzy partyzanci pokpiwają z nas, bo nie mamy broni. My jednak, nie zważając na przeszkody, przemy do dowództwa zgrupowania i docieramy do niego. Przyjmuje nas porucznik. Wysłuchuje naszej prośby o przyjęcie do zgrupowania partyzanckiego. Rozmowa dość gorąca. Niestety, okazuje się, że nie możemy być przyjęci bez broni. Dowództwo bowiem nie jest w stanie zaopatrzyć w nią miejscowej młodzieży, nie mówiąc o przybyszach z sąsiednich powiatów i dalszych rejonów kraju. Gdybyśmy mieli broń byłibyśmy przyjęci. Zawiedzeni wracamy lasami do domu. A tyle sobie obiecywaliśmy z naszej wyprawy. Żałujemy, że nie zabraliśmy ze sobą jakiejś broni, którą w domu mamy. Nie zabieraliśmy jej ze względu na nasze bezpieczeństwo. Postanawiamy jednak, że jeszcze tutaj przybędziemy uzbrojeni.

Tymczasem front zatrzymał się na Wiśle i nie rusza się z miejsca. W miarę upływu czasu utwierdzamy się w przekonaniu, że pozostanie tu dłużej. Jedni twierdzą, że dwa tygodnie, drudzy że miesiąc, a jeszcze inni, że kilka miesięcy. Ja i koledzy w tym czasie przygotowujemy się znowu do wyprawy do Republiki Pińczowskiej. Ale któregoś dnia spada na nas przykra wiadomość, że Republika rozpada się pod naporem wojsk niemieckich, które po chwilowej panice i ustabilizowaniu się frontu zaczęły zajmować na nowo wszystkie miejscowości w rejonie przyfrontowym. Informacje te porażają nas. Nasze plany wzięły w łeb. Jesteśmy tym niepokieszeni. Broń chowamy na inną okazję.

Początek sierpnia. Dowiadujemy się, że w Warszawie wybuchło powstanie. Słysząc było o tym wcześniej, że coś się takiego szykuje, ale nie braliśmy poważnie tego pod uwagę w sytuacji, kiedy Niemcy rozporządzają jeszcze wielkimi siłami. Dlatego jesteśmy zszokowani tą wiadomością. Uważamy bowiem, że jest to porwanie się z motyką na słońce, że jest to samobójstwo. Pozostaje nam tylko być myślami, całą duszą i sercem z walczącymi warszawiakami. Nie ma teraz dnia, żeby nie było dyskusji w domu i we wsi na temat powstania.

Jestem u wujka Stacha w Kranowie. Od czasu do czasu go odwiedzam. To mój kochany wujek. Ale co to? Znowu słycać strzały w Daleszycach. Biedna ta osada teraz. Co się tam dzieje? Wujek bierze lornetkę i wychodzimy za dom, skąd widać całą osadę. Widać w oddali dużą grupę żołnierzy na koniach. Niemcy czy własowcy? Zdążają do osady. Przy wjeździe do osiedla grupa dzieli się na dwie części. Jedna udaje się pod kościół, a druga pędzi na koniach w polu za uciekającymi ludźmi. Jak na złość tym razem nie ma partyzantów. Ta część grupy, która dotarła do kościoła robi polowanie na ludzi w osiedlu. Łapią tych, którzy nie zdążyli uciec, albo zbagatelizowali niebezpieczeństwo. Obserwując ich przez lornetkę poznajemy, że to własowcy. Drogą kranowską toczy się kilka furmanek w naszym kierunku. Kule świszczą nad głowami. Nad naszymi również. Dzieci płaczą, a matki uspokajają je drepcząc przy furach. Na polu rozgrywa się dramat. Na jedną z kobiet wpada własowiec na koniu. Ona klęka przed nim i składa ręce. Ściąga z ręki obrączkę i daje mu ją. Własowiec zsuwa się nieco z konia, łapie zdobycz i rusza dalej. Tej kobiety nie zabije. Ale dopada inną. Ta również błaga o litość. Słysząc krzyk, płacz, rozpacz. Jeśli która nie ma co dać, zostaje zastrzelona lub otrzymuje kilka pejców w głowę i plecy. Widać, jak własowcy gwałcą złapane kobiety. Niektórzy kręcą się na koniach wokół kopek skoszonego żyta. Wjeżdżają na nie i przewracają, burzą. Wyciągają z nich mężczyzn i kobiety. Jeden z bandytów najeżdża koniem na mężczyznę. Zarzuca mu na szyję linę i ciągnie go. Mężczyzna zdejmując z ręki zegarek i daje własowcowi. Dzięki temu zyskuje wolność.

Ze wznieśnienia widać wszystko jak na dłoni co się dzieje na polach daleszyckich. A dzięki lornetce jeszcze lepiej.

– Wujku, a gdybyśmy tak ich pogonili, zaatakowali? – odzywam się.

– Kto i czym?

– Jak to kto? My i chłopaki ze wsi. Broni u was nie brakuje. Wiem, że we wsi jest broń ze zrzutu. Mówił mi o tym Władek Kamiński. Zwołajmy zaraz kranowiaków i zaatakujmy własowców. Tylko szybko, bo odjadą. Już jest nas dwóch. Od Piotrowskich może być trzeci. Od Kamińskich dwóch i tak dalej. Wujku, na co my czekamy?! Tam się dzieją straszne rzeczy!

– A wiesz, może by nam się to udało. Ale najpierw biegnijmy szybko po „Sarnę” – komendanta placówki AK. Może jest na kwaterze.

Biegnijmy. Jak raz spotykamy go na drodze. Szczęście. Dziwię się, że miejscowa placówka AK nie reaguje na to co się dzieje na polach daleszyckich.

– Dlaczego nie organizujemy pomocy daleszakom? – pyta wuj.

– Właśnie szedłem do ciebie, aby się poradzić w tej sprawie. Dobrze się składa, że się spotkaliśmy.

– Tu nie ma się co naradzać, bracie, tylko zbierać ludzi, wydać broń i jazda na kranowskie góry.

– Tak uważasz? To biegnijcie na wieś, jeden w jedną stronę, drugi w drugą i zwołajcie chłopaków. Zbiórka u Kamińskiego. Ja tam idę.

Biegnijmy. Zwołujemy chłopaków. Zbieramy się u Kamińskiego. Jest nas piętnastu. Jest tu już „Sarna”. Broń jest gotowa do wydania chłopakom. Każdy bierze to co mu odpowiada. Są dwa erkaemy, kilka pistoletów maszynowych „Sten” i kilka karabinów „Mauser”. Ja łapię pistolet maszynowy. Bierzymy również granaty. Za chwilę dochodzi jeszcze dwóch kranowiaków. Razem siedemnastu.

„Sarna” podaje komendę do zbiórki, a następnie biegiem ruszamy na górki kranowskie. Biegniemy ile sił w nogach. Już mamy górki. Kładziemy się między dużymi głazami. Jeden od drugiego w odległości dziesięciu metrów. Widać jeszcze jeźdźców w mundurach niemieckich uganiających się na koniach za ludźmi na polu. Nas siedemnastu, a ich kilkudziesięciu. Dlatego działamy z ukrycia. Własowcy zajęci polowaniem na ludzi nie zauważyli nas, kiedy zajmowaliśmy stanowiska ogniowe. Jest do nich może ze sto metrów.

– Uwaga! Każdy niech sobie wybierze jednego jeźdźca! Tylko dobrze celować! Wiecie jak to robić. Uczyliśmy się na ćwiczeniach w lesie. Ognia! – krzyczy komendant.

Rozlega się terkot karabinów maszynowych i automatów. Przy jednym z nich widzę wujka. Słychać także pojedyncze strzały z karabinów. Własowcy spadają z koni. Pełne zaskoczenie. Nawet nie odpowiadają ogniem, gdyż nie wiedzą skąd dostali łupnia. Nagle słychać silny, przeciągły gwizd i jakby piorun trzasnął w pozostałych przy życiu. Galopem odjeżdżają w kierunku osady. Zostawiają na polu kilkunastu zabitych i sporo rannych oraz konie bez jeźdźców. Po kilku minutach znikają nam z oczu, bo wpadli między zabudowania, które jeszcze nie zostały spalone.

– A teraz biegiem na pole, zbierzmy broń u zabitych i połapmy konie. Kto sobie złapie konia, to jego – decyduje „Sarna”.

Biegniemy na pola. Dwa erkaemy ubezpieczają nas. Zbliżam się do wybranego konia. Kasztan stoi na polu i skubie trawę. Strzyże tylko uszami. Podchodzę do niego. Koń podnosi głowę i patrzy na mnie – chyba przyjaźnie. Klepię go po szyi i pysku. Podchodzę z nim do martwego własowca, któremu zabieram broń. Pistolet maszynowy. Własowiec leży w kałuży krwi. Jest już zimny. Myślę o zdjęciu mu butów, bo nawet niezniszczone, ale bierze mnie obrzydzenie. Zarzucam pistolety na siebie, wkładam nogę w strzemię siodła, jeden ruch i siedzę na koniu. Skierowuję się do grupy ludzi.

– Słuchajcie ocaleni. Przynieście łopaty i zakopcie tych drani na polu, bo cmentarza nie są warci. Dobrze? – mówię.

– Dobrze panie. Zakopiemy. Dziękujemy bardzo panom, żeście nas ocalili. Gdyby nie wy, zostalibyśmy pewnie na tym polu. Bądźcie zdrowi. Do widzenia.

– Pozdrówcie Furmanków, moich kuzynów. Przesyła im pozdrowienia Adam z Sukowa.

Podcinam konia i jadę do dowódcy oddziału by oddać mu broń i zameldować swój odjazd do domu. Żegnam się z komendantem, który dziękuje mi za udział w akcji. Zaprasza mnie na najbliższy nocny zrzut. Z wujkiem umawiam się na spotkanie za kilka dni. Potem ruszam na koniu stępa. Zeby mnie nikt nie widział, przecinam wieś w poprzek i cwałuję do lasu. Jadę na przełaj, nie drogą. Po kwadransie wjeżdżam na podwórko gajówki. Pies szczeka. Uciszam go. Ale z konia nie schodzę. Z domu wychodzą siostry i wołają matkę. Jest i ona.

– Skąd go masz? – pyta matka wskazując na moją zdobycz.

– Zdobyłem na wojnie. To koń „trofiejny”.

– Nie żartuj.

– Wcale nie żartuję. Zaatakowaliśmy dzisiaj własowców pod Daleszycami. I wujek Stach też tam był. Zabiliśmy kilkunastu bandytów i mamy konie po nich. W związku z tym i ja mam.

– Matko jedyna, co ty mówisz! Co ty wyprawiasz i gdzie ty się pchasz? Stale drzę o ciebie. Ty niespokojna duszo. Ty wszędobylski. Uważaj na siebie, uważaj. Żebyś nie położył gdzieś głowy.

– Mamo, zawsze uważam i uważać będę.

Jak się później dowiadujemy, własowcy uprowadzili tego samego dnia szesnastu mężczyzn z Daleszyc. Być może zemścili się za swych rodaków, którzy pozostali na polach daleszyckich. Urowadzonym spętali ręce linami, które przywiązali do siodła koni w taki sposób, aby nieszczęśnicy mogli się poruszać za końmi lub obok nich. Wśród uprowadzonych znalazł się także mój wuj Furmanek i nadleśniczy Jurkowski, którego znam z pracy w lesie. Kolumna wyrusza na piechotę z osady Daleszyc do odległej o trzy kilometry wsi Górno. Już w czasie marszu własowcy rozprawiają się z uprowadzonymi, bijąc i maltretując w różny sposób. Niektórzy z nieszczęśników giną w męczarniach w czasie drogi, gdyż oprawcy włoką ich po kamiennej szosie. Zamordowanych zostawiają w rowach, nie przejmując się nimi. Po dotarciu do swojej kwatery do Górna, rozprawiają się z pozostałymi. Od śmierci ratuje się tylko nadleśniczy Jurkowski, który pilnującemu go własowcowi oddał swój zegarek.

W nocy inna grupa pacyfikacyjna własowców działająca we wsiach Skorzeszyce, Smyków, Sieraków i Napęków uprowadziła kolejnych kilkunastu mężczyzn do Górna. Zaalarmowani o pacyfikacji tych miejscowości partyzanci stacjonujący na Niwkach, przybywają na pomoc ich mieszkańcom. Niestety już za późno. Własowcy opuścili te wsie bezpiecznie, udając się do Górna, gdzie mają swoją twierdzę.

Po akcji pacyfikacyjnej przeprowadzonej przez własowców w Daleszycach do ochrony tej osady zgłasza się ochotniczo oddział partyzancki pod dowództwem porucznika „Dęba”. Wybiera on pozycje ogniowe na górze przy kościele, gdyż miejsce to jest najbardziej odpowiednie do zorganizowania zasadki oraz do obserwacji terenu. Widoczność na dwie drogi, którymi Niemcy czy własowcy mogą przyjechać do osady jest zadowalająca. Jedna prowadzi do Daleszyc z Górna, a druga ze Słopca. Pierwszy dzień po napaści własowców na Daleszyce upływa spokojnie. Jest niedziela. Wróg nie

pokazuje się. Ludzie widząc partyzantów na czatach ściągają z pól i lasów do swych domostw. Wielu nie ma już do czego przyjść. Własowcy puścili je z dymem. Przygarniają ich więc ci, którzy mają jeszcze gdzie mieszkać. Ludzie zwożą również ciała swych bliskich zamordowanych przez oprawców przy szosie górzeńskiej. Niektóre przedstawiają makabryczny widok. Na przykład mojemu kuzynowi oskalpowali głowę. Michalczykowi odciepli pół głowy. Troińskiemu zmiażdżyli całą twarz. Ofiary trudne do rozpoznania. Pod nadzorem porucznika „Dęba” i pracowników nadleśnictwa kilku stolarzy zbija z desek 20 skrzyń imitujących trumny. Pogrzeb ofiar odbywa się tym razem bez niepokojów. Już jednak we wtorek obserwator znajdujący się na wieży kościelnej sygnalizuje, że jadą jakieś samochody od Górna. Partyzanci przygotowują się na ich przyjęcie zajmując stanowiska ogniowe na pochyłości wzniesienia od strony szosy górzeńskiej. Wiadomość o nadjeżdżających samochodach leci lotem błyskawicy po domach. Ludzie opuszczają je na wszelki wypadek.

Nadjeżdża jeden samochód ciężarowy z Niemcami. Partyzanci ostrzeliwiają go z broni maszynowej. Niemcy odpowiadając ogniem przejeżdżają przez Daleszyce. Nikt nie wie, jakie mają straty w ludziach. W tym czasie kwateruje ze swoim oddziałem partyzanckim w Kranowie porucznik Szrek – Zapala. W pobliżu domu Maciejewskiego wystawił ubezpieczenie, celem prowadzenia obserwacji szosy biegnącej w kierunku Daleszyc. Jego ludzie słysząc strzelaninę w Daleszycach zajmują stanowiska. Z chwilą, gdy pojawia się samochód z Niemcami, partyzanci ostrzeliwiają go z broni maszynowej. Ale Niemcy zamiast jechać dalej zawracają do Daleszyc. Dlaczego tak robią? Partyzanci nie mogą tego zrozumieć. Wjeżdżając do Daleszyc Niemcy prażą z broni maszynowej na prawo i lewo po domach i rzucają granaty. Zachowują się dziwnie. Samochód jadąc przez osadę zmierza do szosy górzeńskiej, którą wjechał tu poprzednio. I kiedy zjawia się na niej, zostaje ponownie przywitany przez partyzantów ogniem z broni maszynowej. W pewnym momencie zjeżdża do rowu i przechyla się na bok. Niemcy wyskakują z niego i uciekają w kierunku cmentarza, ale kiedy ludzie „Dęba” przecinają im drogę, zaczynają biec w pola wzdłuż drogi. Nagle na szosie od Górna pokazują się trzy inne pojazdy, podobne do tego, który jest już w rękach partyzantów. Dwa zbliżywszy się na odległość około pół kilometra od kościoła zatrzymały się. Wyskakują z nich Niemcy. Uformowawszy odpowiedni szyk przypuszczają atak na partyzantów. Trzeci samochód wycofuje się w kierunku Górna.

Niemcy nacierają na partyzantów, ale ci wsparci dwoma niemieckimi karabinami maszynowymi wydobytych z pierwszego unieruchomionego samochodu otwierają taki ogień, że szyk hitlerowców załamuje się po pierwszych krokach. W tym czasie nadchodzą posiłki z oddziału „Barabasha”. Partyzanci wypierają Niemców. Tyle wiedzą o tej potyczce mieszkańcy Daleszyc. Ale mało kto wie, że bierze w niej także udział grupa ludzi zebranych naprędce w Kranowie, w której i ja się znalazłem.

Po przepędzeniu własowców z pól daleszyckich koledzy z kranowskiej placówki AK zaproponowali mi udział w odbiorze zrzutu broni w nocy z wtorku na środę. Jestem ciekawy tej akcji więc przychodzę z rana do Kranowa i zatrzymuję się u wuja Stacha. Tymczasem około jedenastej dowiadujemy się od łącznika z Daleszyc o walce na szosie górzeńskiej między naszymi partyzantami a Niemcami. Zwołujemy więc chłopaków ze wsi. Po rozdaniu broni biegnie nas dwudziestu na górki między Brzechowem i Daleszycami. Zajmujemy stanowiska ogniowe w taki sposób, że przed nami znajduje się spory odcinek polnej drogi i kilometrowy odcinek szosy górzeńskiej. Z początku obserwujemy z ukrycia co się dzieje i analizujemy sytuację. I tym razem dowodzi nami porucznik „Sarna” – dowódca placówki Kranowa. W pewnym momencie widać wyjeżdżające z lasu górzeńskiego trzy niemieckie samochody ciężarowe. Otwieramy do nich ogień z kilkunastu karabinów, gdyż wydaje się nam, że automaty nie będą skuteczne ze względu na sporą odległość. Ale to jakby nie robi na nich większego wrażenia. Niemcy odpowiadają ogniem i jadą dalej. Wtedy zagdakały trzy nasze ręczne karabiny maszynowe. Po chwili dwa samochody pojechały dalej, a trzeci się zatrzymał. Niemcy zeskakują z niego do rowów i prowadzą ogień do nas. W tym czasie widzimy, że z lasu górzeńskiego wyjeżdżają trzy następne samochody i zdążają w kierunku Daleszyc, ale za chwilę wycofują się. Żołnierze z dwóch pierwszych samochodów związani walką rozpraszają się po polu szukając schronienia. Nie mogą go jednak znaleźć na otwartej przestrzeni. Niektórzy z nich widząc kopki zboża chowają się w nich. Dosiegają ich nasze pociski. Dowódca nasz daje rozkaz tym, którzy mają karabiny, aby użyli pocisków zapalających. Kopki się palą. Powstają pochodnie. Niemcy uciekają z nich. Wówczas razimy ich ogniem ze wszystkich rodzajów posiadanej broni. Jeńców nie bierzemy, wobec czego giną wszyscy. Całkowity pogrom. Ale i my mamy straty – dwóch zabitych i kilku rannych. Jak się później okazuje, jeden samochód został zniszczony na skraju osiedla przez partyzancką grupę „Dęba” i grupę „Barabasha”. Jego pasażerowie zginęli na polu. Drugi samochód został zniszczony przez naszą grupę na szosie górzeńskiej, a jadący nim hitlerowcy wybici.

Mimo dużych strat ponoszonych w rejonie Daleszyc, Niemcy nie godzą się na pozostawienie tej osady bez swego wojska. Z każdym dniem nasilają swoją obecność w tym rejonie. Prawie każdego dnia robią wyprawy do osady. Strzelają po pozostałych domach. To tu, to tam wybucha pożar. Z każdą wizytą ubywa domów. Osada ginie w oczach, zamiera w niej życie. Partyzanci nie są w stanie jej

obronić. Niezależnie od tego każdego dnia nadlatują nad Daleszyce i okoliczne wsie niemieckie samoloty i ostrzeliwują ludzi, obrzucają ich wiązkami granatów.

W drugiej połowie sierpnia 1944 roku dowiaduję się, że siedlecki korpus Armii Krajowej przygotowuje wielką koncentrację swych oddziałów, by po sformowaniu odpowiednich jednostek wyruszyć na pomoc Warszawie. W drodze do stolicy zatrzymuje się w naszej gajówce zaprzyjaźniony z nami oddział „Barabasza”. Podczas tego postoju i rozmowy „Barabasz” namawia mnie, abym się przyłączył i poszedł z nimi. Dał mi godzinę do namysłu. Co tu robić? Nie mogę się zdecydować na oficjalny powrót do tej organizacji, bo przecież opuściłem ją dwa lata temu. Nie mogłem się bowiem pogodzić z hasłem „stania z bronią u nogi”. Jestem więc teraz rozdwojony zaistniałą sytuacją. Szamoczę się w przeciągu danej mi godziny. W końcu zgadzam się dołączyć do oddziału. Na drogę matka przygotowała dla mnie i dla „Barabasza” spore węzłki z żywnością. Partyzanci dostali kilka bochenków chleba, bo nic nie było więcej w domu. Ze swojej skrytki wziąłem niemiecki pistolet maszynowy, bo w oddziale nie było dodatkowej broni.

Maszerujemy na Zagnańsk, gdzie ma się sformować pułk AK. Nasz batalion ma wejść w jego skład. O celu naszego marszu wiedzą nie tylko partyzanci, ale i ludność cywilna. Dlatego chyba i Niemcy coś wiedzą o nas, gdyż jak się okazuje przesuwają się równoległe z nami. Nad ranem zatrzymujemy się na odpoczynek we wsi. Rozchodzimy się po domach i stodołach. Tu można wreszcie zjeść ciepłą strawę i opatrzyć poodparzane nogi. Z rozmów wynika, że w tym rejonie jest około czterech tysięcy ludzi. Koncentracja partyzanckiego wojska odbywa się w dniach 22-26 sierpnia. Trudy codziennego życia są dokuczliwe. Z żywnością są trudności, bo okolica biedna. Głód jest więc coraz częstszym zjawiskiem, tak samo jak różne choroby, przede wszystkim szkorbut, angina i czerwonka dziesiątkujące naszych ludzi, szczególnie tych, którzy w oddziałach partyzanckich są już dłuższy okras.

24 sierpnia wieczorem, w niewielkim kompleksie leśnym, na pustkowiu w gajówce niedaleko Pilicy, odbywa się odprawa dowódców pułków, batalionów i poprzednich oddziałów partyzanckich u dowódcy korpusu pułkownika Jana Zientarskiego. Debatują o dalszych losach jednostek skoncentrowanych. Zostaje tutaj odczytany rozkaz generała „Bora” o wstrzymaniu marszu na Warszawę. Trudno opisać sceny żalu, smutku, zawodu jakie przeżyliśmy. Panuje ogólne rozczarowanie. Wiadomości z Warszawy coraz bardziej przygnębiają wszystkich. Jak się dowiadujemy, dowództwo korpusu oceniło sytuację i stwierdziło, że przestrzeni między Zagnańskiem i stolicą, na której znajdują się potężne umocnienia inżynierijno-saperskie, nie uda nam się pokonać bez ogromnych strat. Zostalibyśmy w drodze całkowicie rozbiti przez potężne jeszcze niemieckie jednostki frontowe, przygotowujące się do odparcia ofensywy Rosjan. Czy to szczęście w nieszczęściu? – pytam sam siebie. Dochodzę do wniosku, że dzięki dowództwu korpusu być może będę jeszcze żył.

Dowódca korpusu odwołuje formalnie marsz w zaplanowanym uprzednio kierunku i rozkazuje wykonanie akcji „Burza” na dotychczasowym, własnym terenie. W związku z zapowiedzianymi zrzutami alianckimi broni i odzieży, zabroniono na jakiś czas przeprowadzania jakichkolwiek akcji zaczepnych przeciwko Niemcom. W związku z zaistniałą sytuacją nasza kompania udała się z rejonu Bryzgowa na południe w kierunku Kielc. Pod osłoną nocy przeszliśmy do wsi Brzezina, gdzie odpoczywamy kilka godzin. Przed południem, korzystając ze znacznego zalesienia terenu, maszerujemy dalej. Nastroje stale się pogarszają, zwłaszcza że dochodzą do nas informacje o poczynaniach Niemców. Dowiaduję się o spaleniu Daleszyc przez Kałmuków. Stan oddziałów w naszym pułku ulega zmniejszeniu. Odchodzą starsi wiekiem, chorzy i ci przede wszystkim, którzy zostali zmobilizowani w ramach koncentracji. Ja również odmeldowuję się z oddziału por. „Barabasza”, tym bardziej, że nie należałem do tak zwanych „spalonych”. Kilkanaście godzin marszu lasami z bronią i znalazłem się w domu. Oczywiście wiele radości. Wrócił marnotrawny syn na łono rodziny.

Pod koniec sierpnia w dniu św. Augustyna ma się odbyć w naszej parafii odpust, jakiego dawno w niej nie było. Ma bowiem przyjechać sam biskup kielecki. Już kilka dni wcześniej zjeżdżają do naszej wsi kramarze, misjonarze i księża z sąsiednich parafii. Przyjechał także kilkoma wozami karuzelista. Jest niedziela, dzień odpustu. Ładna pogoda. Na wszystkich drogach prowadzących do kościoła turkoczą dwukonne i jednokonne furmanki, jak przed wojną. Niektóre z nich przybrane są zielonymi gałązkami jodły i różnokolorowymi wstążkami. Ja także wybieram się do wsi, aby zobaczyć tę uroczystość, spotkać się z kolegami i koleżankami. Taka atrakcja we wsi zdarza się raz na wiele lat.

Dość duży plac znajdujący się przy kościele wypełniony jest ludźmi. W obawie przed łapanką młodzi nie gromadzą się w większe grupy. Dochodzi jedenasta. Czas na sumę. Niebawem wychodzi z zakrystii uroczysty orszak. Na jego czele sam biskup, odziany w liturgiczne szaty. Zaczyna się nabożeństwo. Biskup raz mówi, raz śpiewa. W pewnym momencie zaczyna mówić o zagrożeniu ze strony Rosjan. Przestrzega przed nimi, jako „zarazą” ze Wschodu. Potem nawołuje ludzi do oddawania synów do armii niemieckiej, jeśli zwróci się ona do nich w tej sprawie.

Co on tu gada? Co, synów naszych do armii niemieckiej? Jasny gwint, teraz wiem, kim on jest. Dlaczego go nasi partyzanci nie zlikwidowali? W pierwszej chwili nie wiem co myśleć o tym co usłyszałem. Zbieram myśli. Opanowuje mnie chęć zagwizdania na palcach, aby wyrazić w ten sposób

swój protest. Ale odchodzę od tego zamiaru, gdyż obawiam się rozfanatyzowanego, ciemnego, wiejskiego tłumu i dewotek, które zawiodą historycznie. Słyszę krzyk, płacz i szloch niektórych kobiet. Nie czekając do końca nabożeństwa, wychodzę z kościoła w wielkiej zadumie. Po tym, co usłyszałem coś się we mnie załamało. Zaczynam wątpić w to, co dotychczas wierzyłem. Odechciało mi się wszystkiego – odpustu, jego uroków, uciech, rozrywki.

Po kilku dniach będąc we wsi, otrzymuję pisemną odezwę diecezji kieleckiej w postaci ulotki do mieszkańców Kielecczyny, nawołującą młodzież do wstąpienia do armii niemieckiej. Nie wywołuje to jednak większego odzewu wśród ludzi. Wielu jest zgorszonych postępowaniem biskupa. Nazywają go kolaborantem, szpiclem, zdrajcą, sprzedawczykiem. Znalazło się jednak kilkunastu miejscowych, którzy posłuchali jego apelu. W tej liczbie znajdują się również moi znajomi. Jak się wkrótce okazuje, zostają oni umundurowani, ale nie otrzymują broni. Przydzielono ich do służby pomocniczej w jednostkach niemieckich w charakterze woźniców, kucharzy, gońców, pomocy kuchennej, sprzątaczy. Niemcy nie dowierzają nawet tak małej garstce ochotników polskich, którzy poszli na ich żółd na wezwanie biskupa kieleckiego.

Pewnego dnia siedząc w gajówce słyszę jakieś krzyki od strony Sukowa. Wychodzimy wszyscy na podwórze. Widzimy dym nad wsią i ludzi uciekających w panice w stronę lasu. Czyżby i naszą wieś dosięgła pacyfikacja?

– Chłopcy, do schronu! – krzyczy matka. – Nie wiadomo co się tam dzieje, może Niemcy gonią ludzi?

Schodzimy z Mietkiem do schronu. Mamy w nim już świece i karbidówkę. Ja mam tu też schowaną broń, o której tylko ja wiem. Jest to pistolet maszynowy MP, z którym byłem na koncentracji Korpusu AK i kilka granatów różnych typów oraz nagan. Po niespełna dwóch godzinach słychać kroki po kuchni. Odchyła się wieko...

– Możecie już wyjść. Niemcy nie ścigają ludzi po polach. A co to było, dowiemy się wieczorem od ojca, który poszedł do rewiru.

Teraz prawie każdego dnia słyszymy w gajówce wystrzały artyleryjskie lub wybuchy granatów i terkot ciężkich karabinów maszynowych. Nikt nie może zgadnąć, jak długo trzeba będzie żyć w pobliżu frontu i czy w ogóle można będzie przetrwać ten czas. Zastanawiamy się nieraz w rodzinie, czy nie będziemy musieli opuścić domu. Tymczasem Niemcy na lewym brzegu Wisły nadal pospiesznie przygotowują się do obrony, rozbudowując wszelkiego rodzaju fortyfikacje i umocnienia. Nie starcza im własnych sił, przyjeżdżają do okolicznych wsi i co zdrowszych i silniejszych mężczyzn zabierają do kopania okopów i rowów, ciągnących się wzdłuż i w szersz na przestrzeni wielu kilometrów. Ziemia kielecka jest ryta łopatami i ciągnikami. Wszystkie mosty na rzekach na obszarze między Wisłą a Kielcami zaminowano i ustawiono przy nich posterunki wojskowe, aby partyzanci nie wysadzili ich w powietrze. Most na naszej rzece w Papierni również jest zaminowany i stoi przy nim posterunek wojskowy. Teraz prawie w każdej wiosce stacjonują oddziały niemieckie. Cały więc ciężar kwaterowania partyzantów, którzy jeszcze operują w naszym rejonie, spoczywa teraz na gajówkach i leśniczówkach, położonych z dala od osiedli. W naszej gajówce nadal panuje duży ruch. Któregoś dnia zatrzymuje się tutaj „Barabasza” z kilkoma partyzantami. Namówiłem go, aby zanocował z całą grupą. Z początku zastanawiał się nad tym, ale po chwili wyraził zgodę. Po nakarmieniu pozostawiamy konie w stajni, a sami siadamy przy stole w kuchni. Długo rozmawiamy o aktualnych wydarzeniach i działaniach oddziałów AK na Kielecczyźnie.

Któregoś dnia rano w drodze do pracy widzę na niebie radziecki samolot. Chwilę krąży nad polem pod lasem, po czym wysypują się z niego białe „motylki”. Biegnę w tamtą stronę. Okazuje się, że to ulotki. Rzucam na nie okiem w pośpiechu i kilka kartek zanoszę do domu. Jak się okazuje jest to „Manifest Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego”. Jestem już trochę spóźniony do pracy, więc nie mam czasu dokładnie zapoznać się z treścią. Chwytam jedną ulotkę, wkładam do kieszeni spodni i lecę do lasu na żywicowanie. Na miejscu czeka już na mnie Stach. Mówię mu o całym zdarzeniu i czytam dokładnie na głos całą treść „Manifestu”.

– No, Stachu, jak ci się to podoba?

– Może ta nowa władza nie zawiedzie nas teraz – odzywa się Stach.

W mojej głowie błyska promień nadziei na lepszą przyszłość. A najbardziej cieszy mnie zapowiedź, że nauka będzie dla wszystkich, nie tylko dla wybranych, jak było przed wojną. No wreszcie będę się mógł uczyć. Bo przed wojną za sanacji nie mogłem się dostać do szkoły średniej mimo zdanych egzaminów. Teraz naprawdę chcę przeżyć tę wojnę i żeby skończyła się jak najszybciej. Nacinając sosny układam sobie w głowie plany na przyszłość. Zamarzyła mi się nauka. Teraz, kiedy już wiem coś o tej nowej władzy, nie chcę innej. Nie chcę tej, która była przed wojną. Cieszę się z zapowiedzi, że nowa Polska będzie sprawiedliwa, bez wyzysku człowieka przez człowieka, że będzie matką dla wszystkich, a nie tylko dla wybranych, dobrze urodzonych.

We wrześnie chodzimy jeszcze do pracy w lesie, ale jest to już raczej formalność. Nikt bowiem nie podejmuje decyzji o jej przerwaniu. Jest to wynikiem rozprężenia, jakie następuje w administracji

niemieckiej. Jesteśmy więc jak gdyby zawieszeni w próżni. Któregoś dnia leśniczy zawiadamia nas jednak o dniu, w którym ma przyjechać do nas z Kielc inspektor Gacek od żywicowania. Siedzimy tego dnia pod rozłożystą sosną, która jest umówionym miejscem spotkań. Słysząc warkot motoroweru. Spoglądamy w kierunku szosy. Widać, jak inspektor schodzi z motorynki, gasi silnik i prowadzi ją w głąb lasu, rozglądając się na wszystkie strony.

– Zobacz, wygląda jakby nasz inspektorek czegoś się bał. Nigdy się tak nie zachowywał poprzednio – zauważa Stach.

– Dzień dobry panom – pieje inspektor swym kogucim głosem. Podchodzi do nas i podaje nam dłoń. – Jak wam idzie praca?

– Idzie, jak krew z nosa. Idzie i nie idzie, bo ktoś tłucze nam naczynia i kradnie żywicę. Dużo drzew jest ogołoconych z naczyń i żywica leci na ziemię.

– Panowie, nie ma się już czym przejmować. Diabli tam z żywicą dla Niemców. Czort z naczyniami. Administracja niemiecka już na walizkach. Opuszcza Kielce i nikt się już nie interesuje niczym. Niemcy mają teraz zajęte głowy czym innym, a nie żywicą. Byłem kilka dni temu w Okręgu Lasów Państwowych, to nie chcieli ze mną rozmawiać, kiedy o coś zapytałem. A jeden z urzędników niemieckich powiedział mi nawet, żebym sobie poszedł do diabła z tą swoją żywicą. Jeśli chcecie, to popracujcie jeszcze trochę i zbieżcie coś dla naszych, którzy idą ze wschodu.

Spoglądamy na siebie zdziwieni zachowaniem inspektora. Nie chce mi się wierzyć w to co mówi. Taka nagła zmiana w jego postępowaniu? Nie do wiary. Zawsze bowiem traktował nas z góry i dawał odczuć, że to on jest tu panem i władcą. Na chwilę brakuje mi słów. Ale zaraz odzyskuje mowę.

– Zaraz, zaraz, panie inspektorze. Jacy „nasi”?

– No ci, którzy nadchodzą ze wschodu.

– To oni są również dla pana?

– A czemuż by nie?

– A dlatego, że jeszcze kilka miesięcy temu Niemcy byli dla pana wszystkim. Prześladował nas pan o tę żywicę dla nich. Chciał pan, aby było jej dla nich jak najwięcej. Groził nam pan obozem koncentracyjnym, więzieniem lub wywiezieniem do Niemiec... To dla nas tamci ze wschodu są „nasi”, a nie dla pana. Nie dla takiego kolaboranta, zdrajcy, sługusa niemieckiego.

– Ależ panowie, nie mówmy już o tym co było przedtem. Kiedyś coś tam było tak, jak pan mówi, bo tak musiałem mówić, robić, żeby żyć. Ale teraz nastaje inna sytuacja, do której znowu trzeba się dostosować. Nastają inne czasy i inni ludzie. Niemcy zatrudnili mnie, kazali dobrze pracować dla nich, więc pracowałem. Przyjdą inni, każą mi pracować dobrze, więc będę dobrze pracował.

– A dlaczego to nie powinniśmy o tym mówić? Co, prawda w oczy kole?

– Ja nie chcę tego słuchać. I wypraszam sobie taki ton!

– Co, nie chce pan tego słuchać? Mój ton się panu nie podoba? A niech pan sobie przypomni, jakim tonem pan przemawiał do nas przedtem.

– A jeśli zaraz odjadę?

– Niech pan tylko spróbuje to zrobić. Nie odjedzie pan dopóki nie wysłucha do końca tego, co chcę powiedzieć.

Wyjmuję pistolet z kieszeni i skierowuję w stronę inspektora. Stach doskakuje do niego i obmacawuje go ze wszystkich stron.

– Nie ma broni przy sobie – mówi.

– Ma pan szczęście, bo gdyby miał pan broń, już gryzłby pan ziemię. A teraz niech pan słucha dalej, czy się to panu podoba, czy nie. Chciałem się jeszcze zapytać, czy dostaniemy należne nam pieniądze, na które zapracowaliśmy?

– Ależ oczywiście. Właśnie między innymi w tej sprawie przyjechałem do was. Otrzymacie wszystko to co wam się należy. Osobiście postaram się o to. Nie możemy tego darować Niemcom. Pieniądze otrzymacie w Nadleśnictwie Daleszyce.

Po tej wymianie zdań inspektor odjechał. Dochodzimy ze Stachem do wniosku, że po wyzwoleniu należałoby zameldować nowym władzom, kim był.

Tymczasem rozeszła się we wsi wieść, że wracają z armii niemieckiej chłopaki. Okazuje się, że wrócili już Franek, Jasiak, Wojtek, Maciek, Marian i Zygmunt – „bohaterowie”, a jednocześnie ofiary miejscowego kleru, dewotek, bigotek, kołtunerii i miejscowych organizacji kościelnych. Wrócili, ale jak? Po prostu uciekli z jednostek niemieckich stacjonujących po lewej stronie Wisły, do których zostali przydzieleni. Przekonali się na własnej skórze co znaczą Niemcy.

Któregoś dnia dowiaduję się od Stacha, że w jego wsi stacjonuje jakaś mieszana jednostka wojskowa, złożona z Niemców, Włochów, Rumunów, Kałmuków i innej zbieraniny. Mają oni swój magazyn w kaplicy, w którym trzymają między innymi wojskowe buty. Pilnuje tego tylko jeden wartownik. Gdyby dobrze rozpoznać teren i zaplanować akcję, to można by zrobić skok na magazyn jednostki i zdobyć coś dla nas. Propozycja Stacha wydaje mi się zachęcająca i możliwa do wykonania,

ale niebezpieczna. Każdy bowiem niewłaściwy ruch z naszej strony może postawić Niemców na nogi. Staram się jednak nie myśleć o ryzyku, gdyż to paraliżuje umysł, ręce i nogi.

Nazajutrz po obiedzie mówię matce, że idę do Stacha. Matka nie zapomina upomnieć mnie, abym uważał. Czasami denerwuje mnie to, ale nie protestuję, bo wydaje mi się, że jest to jakby jej błogosławieństwo na drogę. Kilkanaście minut polnymi drogami i jestem u Stacha. Naradzamy się jakiś czas. Decydujemy się wyjść z domu póki jeszcze widno, przed godziną policyjną. Idziemy nieutwardzonym gościńcem biegnącym przez wieś. Po drodze napotykamy walężących się żołnierzy. Niektórzy podpici, ale nikt nas nie zaczepia. Jest kaplica. Okala ją gruby, stary mur. Przy murze rośnie dość wysoki i gęsty żywopłot. Chowamy się za niego od strony łąki i obserwujemy kaplicę. Czas wlecze się bardzo wolno. Zapamiętujemy wszystkie szczegóły. Zostajemy na noc. Ustalamy, że zmiana warty odbywa się punktualnie co dwie godziny. To dla nas ważne. Notuję czas zmiany warty. Na dziś dosyć. U Stacha sporządzamy dokładny plan działania na papierze. To co ustaliliśmy powtarzamy kilka razy, aby się nam utrwaliło w głowie. Dla pewności obserwację obiektu prowadzimy jeszcze przez trzy noce. Ustalamy, że najlepszą porą do skoku na magazyn będzie godzina druga w nocy.

Minęło kilka dni. Podchodzimy do magazynu od strony pól. Przechodzimy przez wyrwę w murze okalającym kaplicę. Obserwujemy teren. Ciężkie, podkute buty niemieckiego żołdaka kłapią nieustannie po kamiennym bruku. Nie widać go, ale słyszymy jego kroki. Kaplica jest oświetlona tylko z jednej strony lampą naftową. Wieś nie ma elektryczności. Spoglądam na zegarek – jest kilka minut po pierwszej w nocy. O drugiej ma się odbyć zmiana warty.

– Już czas, skaczemy – mówię półgłosem.

Błyskawicznie wyskakujemy z ukrycia i dopadamy do tylnej ściany kaplicy w momencie, kiedy wartownik znajduje się po drugiej stronie budynku. Zatrzymujemy się za rogiem. Czekamy chwilę. Kroki wartownika stają się coraz wyraźniejsze, głośniejsze. Zbliża się do rogu, za którym stoimy. Robi w tył zwrot i zaczyna swój miarowy krok od początku. W tym czasie Stach wyskakuje zza węgła, rzuca się na żołnierza od tyłu i zwała go z nóg. Doskakuje i padam całym ciałem na niego. Wartownik z początku szamocze się, ale nie ma możliwości wydobycia się spod nas. Po chwili żołnierz nieruchomieje w uścisku Stacha. Na wszelki wypadek wiąże mu ręce i nogi oraz knebluje usta. Zabieram pistolet maszynowy. Stach już łomem forsuje kłódkę, która się rozlatuje. Drzwi kaplicy ustępują pod naporem ręki. Ja zostaję na zewnątrz z pistoletem maszynowym, a Stach wchodzi do magazynu. Ubezpieczam go. Świeci latarką elektryczną po regałach. Leżą na nich mundury i inne rzeczy. Są i buty. Schodzę z ubezpieczenia i biegnę do worków. Ładujemy buty do dwóch worków po dziesięć par i wynosimy je z magazynu. Zostawiam kilka kartek przy magazynie z zapisem, że zrobili to polscy partyzanci. Zarzucamy worki na plecy i biegniemy przez pola w kierunku gajówki, na przełaj, aby odejść jak najdalej od wsi zanim nadejdzie następna zmiana warty. Dochodzimy do rzeki. Na wszelki wypadek zdejmujemy buty i idziemy jakiś czas korytem rzeki, mając na uwadze, że gdyby szukali w psami, to w wodzie wszelki ślad zaginie. Oglądamy się. Nagle nad wsią wzbija się w niebo rakietą oświetlająca. Potem druga i trzecia. Ale my już znajdujemy się poza zasięgiem ich światła. Nadal biegniemy.

– Ale tam teraz we wsi ruch – odzywa się Stach. – Żeby tylko nie ucierpieli miejscowi ludzie.

– Nie powinni ucierpieć, gdyż rozrzuciłem przed kaplicą kilka kartek z napisem, że zrobili to partyzanci.

– Dobrze to zrobiłeś. Masz pomysły – pochwała mnie Stach.

I oto gajówka. Czuję zmęczenie od biegu. Pies szczeknął, ale poznawszy mnie uspokaja się. Łup chowamy na razie w sianie. Stach nie wraca tym razem do domu. Być może jest niebezpiecznie. Kładziemy się do snu w stodole. Przez jakiś czas dzielimy się wrażeniami i przeżyciami z ostatnich godzin.

– Obujemy całą drużynę partyzantów – mówi Stach.

– Zawiadomię zaprzyjaźnionych z nami partyzantów, że mam dla nich buty.

Zmęczeni, niedługo czekamy na sen. Budzę się. Słońce zagląda do nas szparami między deskami stodoły. Patrzę na zegarek. Jest dziewiąta. Wstajemy i po porannej toalecie jemy na śniadanie. Potem Stach biegnie do siebie, a ja czekam na moment, kiedy ani matki, ani siostr nie będzie w domu. Kiedy wszystkie wychodzą zabieram buty ze stodoły i chowam je do schronu pod gajówką.

Jest wrzesień 1944 roku. Matka stanowczo nalega, abyśmy wzięli się za budowę bezpiecznego schronu na wypadek, gdyby w okolicy miała się rozegrać jakaś poważniejsza bitwa. Dotychczasowy schron pod domem nie nadaje się do tego celu, bo w razie spalenia gajówki podusilibyśmy się wszyscy od dymu i żaru. Wyjmuję z etażerki „Podręcznik leśnika”, w którym znajduje się między innymi rozdział wojskowy, zawierający opis i wskazówki dotyczące budowy schronów, bunkrów, ukryć i innych budowli ochronnych przeznaczonych na czas wojny. Zaczęłem studiowanie tego rodzaju budowli ochronnych. Przez kilka dni szkicuję kilka projektów schronów, mając na uwadze środki, jakie są do naszej dyspozycji. Aż któregoś dnia przedkładałem je rodzinie. Po dyskusji uzgadniamy, że schron będzie duży jak kuchnia i będzie się znajdował w odległości stu metrów od budynków gajówki, na skarpie w pobliżu rzeki, wśród gęstych krzaków leszczyny. Pracę rozpoczniemy od wykopania w skarpie

wielkiego wykopu. Potem przywieziemy z lasu koniem kilkanaście okrągłaków jodłowych. Ziemię z wykopu rozrzućmy na skarpie i przykryjemy ciemniejszą ziemią.

Od następnego dnia rozpoczynamy z Mietkiem budowę schronu. Zwykle już po śniadaniu idziemy do miejsca, gdzie kopujemy dół. Czasami przychodzą do nas siostry. Ale jak to dziewczyny, machną kilkanaście razy łopatą i uciekają do gajówki. W rzeczywistości więc cała robota spada na nas dwóch, bo ojciec jak zwykle jest gościem w domu. Ale kiedy wraca z lasu, matka wjeżdża na niego, domagając się pomocy z jego strony. Wówczas wybuchają między nimi sprzeczki na tym tle. Dostaje się ojcu za jego niefrasobliwy stosunek do budowy schronu. Przy tym i ja już nie milczę. Przypominam mu, jak to nie tak dawno deklarował swą pomoc. On z początku usiłuje się usprawiedliwiać lub odeprzeć nasz atak, ale widząc naszą przewagę w argumentach, po chwili kapituluje. I zwykle bywa tak, że taka interwencja matki pomaga, bo ojciec przez dwa, trzy dni pozostaje w domu i przychodzi do wykopu, bierze do rąk łopatę i macha nią dwie, trzy godziny, oglądając często swe dlonie, czy nie ma czasami odcisków. Matka mobilizuje nas do wytrwałości. Jej cel, to ochrona rodziny podczas przechodzenia frontu.

Nadszedł wreszcie okres, kiedy w rejonie frontu zaczęło się coś dziać. Teraz częściej dochodzą do nas pomruki i warkot w powietrzu. Pojawiają się na niebie samoloty radzieckie, które zapuszczają się w głąb ugrupowania wojsk niemieckich na lewym brzegu Wisły. Kiedy widzę je w powietrzu, ogarnia mnie ogromna radość. Natomiast działania partyzanckie w naszym rejonie stają się teraz coraz rzadsze. Coraz rzadziej pojawiają się oni w naszym domu. Któregoś dnia dowiaduję się, że część oddziałów partyzanckich przedarła się przez linię frontu na prawą stronę Wisły, a część przeszła na inne tereny, gdzie mniej jest wojsk niemieckich. Wiadomości te sprawiają, że i ja myślę o tym, jakby tu przejść przez front na prawy brzeg Wisły i wstąpić w szeregi nowego Wojska Polskiego, utworzonego na terenie ZSRR, o którym coraz głośniej w naszej okolicy. Niestety, poczynione przeze mnie starania w tym zakresie nie dają pożądanego rezultatu. Mijają więc dni, a ja tkwię w jednym i tym samym miejscu. Jestem z tego powodu niepokieszony.

Na dworze już chłodno. Połowa listopada. Robi się ciemno. Nikt nie zapala lampy. Słysząc pukanie do drzwi sieni.

– Mietek, zobacz kto puka – odzywa się matka.

Mietek idzie do sieni i otwiera drzwi. Wprowadza Bolka Mikodę, mojego kolegę. Gość podchodzi do ławki, zdejmując z ramienia akordeon i wita się ze wszystkimi. Rozmawiamy sobie przez jakiś czas, a potem zaczynamy grać. Ja biorę do rąk akordeon Bolka, a Mietek swój bębenek. Mama jest zaskoczona, że tak dobrze radzimy sobie z muzyką. Po jakimś czasie słychać szczekanie psa i jakieś odgłosy. Spoglądamy po sobie. Mietek zrywa się z krzesła i idzie sprawdzić, czy zamknął po przyjeździe Bolka. W tym momencie słychać szuranie w sieni. Zanim doszedł do drzwi, one się otwierają. Ukazuje się w nich mężczyzna z pistoletem w ręku.

– Do góry ręce! – krzyczy napastnik.

Zaskoczeni wykonujemy polecenie. Ja nie mogę tego zrobić, gdyż mam na sobie akordeon przytwierdzony pasami. Jasny gwint, Mietek nie zamknął drzwi po przyjeździe Bolka! Co za pech. Przypadek, że w tym czasie wszedł bandzior do kuchni, w której byliśmy wszyscy. Co tu robić? Żeby nie ten akordeon, skoczyłbym do piwnicy po broń...

– Odwrócić się tyłem do mnie! – rozkazuje bandzior. – Wszyscy marsz do drugiej izby. Stanąc twarzą do ściany, założyć ręce na kark.

Nie mówi czysto po polsku. Podobny jest do Cygana. Czy to czasami nie ta sama banda cygańska, o której mówi się we wsi? Podają się za partyzantów i napadają przeważnie na stojące samotnie domostwa. Terroryzują ich mieszkańców i rabują co się tylko da. I do nas trafili dranie. Muszę im się przyjrzeć lepiej. Dlaczego dzisiaj nie mam przy sobie pistoletu? Ostatnio noszę go z sobą. A dzisiaj jak na złość... Oglądam się za siebie. Napastnik spostrzeżga to.

– Nie oglądaj się, bo ci palnę w Łeb! – krzyczy.

Gorączkowo szukam wyjścia z sytuacji. Denerwuje mnie, że jakiś lachmyta obezwładnił nas przez zaskoczenie i góruje nad nami. Trzeba coś wymyślić, bo nas dranie ograbią i nie wiadomo jeszcze co zrobią. Pozostaniemy na zimę nadzy i bosy. Ilu ich jest? Czort wie. Nie wiadomo, jakie mają zamiary wobec nas. Napastnik stoi pomiędzy kuchnią a izbą, do której zapędził nas pod groźbą użycia broni. Obserwuję go kątem oka. Podejrzewam, że trzyma w ręku atrapę pistoletu. Odwracając głowę po raz któryś z kolei widzę, że w kuchni i w drugiej izbie buszują ludzie. Napastnik stojący za nami porozumiewa się z nimi w obcym języku. Teraz nie mam już wątpliwości, że mamy do czynienia z bandą cygańską.

– To są Cygany – mówię szeptem do Bolka.

Bolek przekazuje informację dalej. Trzeba teraz porozmawiać z tym napastnikiem. Udam partyzanta – myślę.

– Kim wy jesteście? Partyzantami? – pytam.

– Tak. My jesteśmy partyzanty.

– To dlaczego tak się zachowujecie? Znam ja dobrze prawdziwych partyzantów i wiem, jak się oni zachowują po przyjsciu do jakiegoś domu. Sam jestem partyzantem. Mój oddział walczy z Niemcami, a nie ze swoimi, z Polakami. My nie napadamy na swoich tylko na Niemców. To znaczy, że wy nie jesteście partyzantami i nie jesteście Polakami.

– Ty jesteś partyzantem? – pyta napastnik.

– Tak. I mój kolega też. Nasz oddział ma tu zaraz przyjść na nocleg. Tylko go patrzeć, jak przyjdzie. Oświadczam wam, że jeśli coś zginie w tym domu, prawdziwi partyzanci rozprawią się zaraz z wami. Będziemy was szukać dotąd, aż znajdziemy. Wtedy rozstrzelamy. I koniec będzie z wami wreszcie.

– Kłamiesz!

– Kłamie? No to poczekajcie jeszcze kilka minut, a zobaczycie, czy kłamię. Zobaczycie, co się z wami stanie.

Moje słowa robią na napastniku piorunujące wrażenie. Nagle przestaje się zajmować nami, cofa się do kuchni, krzyczy coś w obcym języku do ludzi buszujących w drugiej części domu. Domyślam się, że wydaje jakieś polecenia. Przynagła swoich ludzi do ucieczki. W pewnej chwili mówi:

– Opuuszczamy ten dom. Nic nie zabraliśmy. Ale niech nikt nie odważy się wychodzić stąd przez godzinę, bo zostanie zastrzelony.

Po tych słowach napastnik daje susa do sieni i wybiega na podwórko. Jesteśmy wolni. Opuuszczamy omdlałe ręce. Biegnę do kuchni, aby sprawdzić, czy akordeon stoi na swoim miejscu. Na szczęście jest. Zabrali za to wszystkie bochenki chleba. Został tylko kawałek. Matka biadoli, że nie będzie miała dla nas jedzenia na jutro. Ale najważniejsze przecież, że żyjemy.

– Ale wymyśliłeś na poczekaniu fortel. Gdyby nie to, obrabowaliby was niechybnie. Skąd ci to przyszło do głowy? – pyta mnie Bolek.

– Sam nie wiem. Podobno pomysły przychodzą same w trudnych i niebezpiecznych momentach. Nawet się nie spodziewałem, że podziała to na tego rabusia jak święcona woda na diabła. Ale ja nie mogę znieść tego, że taki łachmyta tak nas zniewolił. Szlag mnie trafia. Dlatego uważam, że powinniśmy pójść za tymi bandziorami. Niech ojciec zostanie w domu, aby go pilnować, a my we trzech pójdziemy za nimi.

– Co ty mówisz? Przecież przez godzinę mamy siedzieć w domu – włącza się matka.

– To jest taka jego gadka. Idziemy. Kto idzie ze mną?

Zgłaszają swój akces Bolek i Mietek.

– To dobrze, bo zniewolili nas, upokorzyli, podeptali naszą godność łachmaniarze. Trzeba się z nimi rozprawić. Nikt się nie zajmuje teraz rabusiami, to my się nimi zajmujemy. Zło trzeba tępić wszystkimi możliwymi sposobami. A my mamy dziś takie możliwości. Przeistaczamy się w partyzantów. Wszystko biorę na siebie.

– Nie wygłupiaj się, daj temu spokój. Jeszcze narobicie jakiej biedy – lamentuje matka.

– Co, to jest wygłupianie się? To jest samoobrona, przeciwdziałanie złu. Niech się mama nie wtrąca do naszych męskich spraw. Już się raz mama wtrąciła, to co z tego wyszło? Zabrali mi buty, które zdobyłem na Niemcach z narażeniem własnego życia.

– Boże, co on wyprawia? Ojciec, zrób coś, aby się nie wygłupiał. Nie puszczaj go.

– Nie puszczaj go, łatwo to powiedzieć. Co, mam go wziąć na kolano? Mam go uwiązać na sznurku? Przecież to jest partyzant od „Barabasa”, z Armii Ludowej, konspirator. Jest już dorosły. Powinien wiedzieć co robi. Panie Bolku, może mu pan przemówi do rozumu?

– Ja nie mam wpływu na niego. Znam go dobrze. A poza tym ma rację. Zło trzeba tępić – odpowiada Bolek.

– Wejdziemy do piwnicy i wyjdziemy tunelem. Dogonimy ich. Nie mogę im tego darować. Jest nas trzech. Mamy broń. Ojciec zostanie z mamą i siostrami do ochrony domu, a my we trzech idziemy za nimi – zarządzam i mimo protestów matki spuszczam się do piwnicy.

Mietek i Bolek również spuszcza się do schronu za mną. Sięgam do wiadomego mi schowka, zabieram pistolet maszynowy, rewolwer i trzy granaty. Rewolwer i granat wręczam Bolkowi, bratu zaś tylko granat. Sobie zostawiam pistolet maszynowy i jeden granat. Czołgamy się przez tunel do wyjścia. Kilka minut i jesteśmy przy rzece.

– A teraz pójdziemy tyralierą przez ugory w kierunku lasu. Zahaczmy jednak najpierw o dom. Sprawdzimy, czy jest ktoś przy nim. Jeśli spotkamy kogoś z tej bandy, to go załatwimy. Ale wątpię, abyśmy spotkali kogoś. Bandzior gadał tylko żeby nas postraszyć.

Przy domu nie spotykamy nikogo. Po kilku minutach marszu po ugorze i polu wchodzimy do lasu. W świetle latarki znajdujemy na drodze kawałek razowego chleba. A zatem musieli iść tędy wcześniej bandyci. Szli, żarli chleb i gubili jego kawałki. Gdyby nie to, trudno byłoby ich znaleźć... Uszliśmy już spory kawał drogi. I kiedy mam powiedzieć, że nie ma sensu iść dalej, spostrzegamy ogień. Podchodzimy powoli do niego. Przy nim widać spory szałas. Zza grubych pni drzew z odległości około dwudziestu metrów obserwujemy siedzących przy ognisku kilkoro ludzi. Czterech mężczyzn, cztery kobiety i pięcioro dzieci. Szukam wśród nich tego, który nas sterroryzował w gajówce. Po chwili

poznaję tego, który nie tak dawno stał nad nami i groził pistoletem. Nie mam wątpliwości, że to on. Ale nie spodziewałem się, że wśród tych rabusiów będzie tyle kobiet i dzieci. One tu nic nie zawiniły, tylko mężczyźni. Co się zaś tyczy tych ludzi, krzywdy nam nie wyrządzili, z wyjątkiem tego chleba, który wzięli. Już nie grozi nam z ich strony niebezpieczeństwo. W takiej sytuacji opuściła mnie chęć odwetu i zawziętość. Nie ma sensu likwidować tych ludzi tylko o ten chleb.

– Nas nie obrabowali, bo im się to nie udało. Ale obrabują innych. Wobec tego podejźmy do nich i sterroryzujemy ich tak, jak oni nas – mówię do Bolka i Mietka. – Wszystko biorę na siebie. Tylko wykonujcie moje rozkazy. Każdy z was niech trzyma w ręku granat. Ja będę miał pistolet maszynowy i granat.

Zbliżamy się w kierunku ogniska. W odległości kilku metrów od niego krzyczę:

– Do góry ręce! Siedzieć na miejscu. Nie ruszać się!

Cyganie podnieśli ręce do góry. Całkowite zaskoczenie.

– To wy dranie chodźcie po nocach i rabujecie ludzi. Przed godziną byliście w gajówce. Próbowaliście obrabować jej mieszkańców, ale się wam nie udało. Nie zrobiliście tego, bo się przelękliście partyzantów, że zaraz przyjdą. I oto jesteśmy. Dobrze, że wynieśliście się z gajówki nic nie wziąwszy, bo już gryźlibyście ziemię. Macie szczęście.

Polecam Bolkowi zrewidować mężczyzn. Ja trzymam ich na muszce pistoletu maszynowego. Mietek stoi na boku z granatami i obserwuje. Dowódca bandy wstaje. Bolek go rewiduje. Ma przy sobie pistolet parabellum. Pozostali nie mają broni. Teraz kolej na kobiety. Mietek rewiduje je. One też nie mają broni.

– A teraz co zrobimy z nimi? – zwracam się do kolegów.

– Rozstrzelamy ich! – mówi Bolek. – Jeśli ich puścimy, będą rabować nadal. Trzeba uwolnić ludzi w terenie od tych rabusiów, pasożytów, bandytów.

Kobiety z dziećmi uderzają w płacz. Wyciągają do nas ręce błagalnie. Klękają przed nami na kolanach. Przysięgają, że nie będą więcej rabować.

– Tym razem darujemy wam życie. Ale jeśli ludzie doniosą nam, że Cyganie rabują nadal, złapiemy was i rozstrzelamy. Wtedy nie zlitujemy się nad wami. Pamiętajcie. Przekonamy się w najbliższym czasie – ostrzega ich Bolek.

Puszczam serię z pistoletu maszynowego w powietrze nad ich głowami, żeby zrobić większe wrażenie. Cyganie skulili się tylko w tym momencie. Zostawiamy ich i wracamy do domu. Wchodzimy do gajówki. Matka siedzi przy kominie zapłakana. Przy niej obie córki. Ojciec wkłada spodnie, bo już spał. Siada przy stole posępny. Pistolet maszynowy i granaty chowam w wiadomym tylko mnie schowku. Rewolwer zostaje przy mnie. Rozmawiamy o całym zajściu. Pocięszam matkę, że nie wykonaliśmy wyroku na bandytach, bo były z nimi kobiety i dzieci. Atmosfera rozluźnia się, a na koniec zaczynamy żartować z Mietka i jego obmacywania Cyganek...

Koniec młocki. Namachaliśmy się przez tydzień cepami. Ziarno w workach schowaliśmy w murowanej piwnicy. Teraz łatwiej wyglądać frontu. Część żyta i pszenicy została zmielona na mąkę. Do świąt zostały dwa tygodnie, a tu się nic konkretnego nie dzieje, front nadal się nie rusza. Nic się nie zmienia. Jedynie nadeszły spore przymrozki. Na tydzień przed świętami matka z córkami wzięły się do robienia tradycyjnych porządków w gajówce. Mimo trudności, jakie stworzył nam okupant, kobiety przygotowują coś lepszego do zjedzenia. Nadal trudno jest o mięso, więc wyszedłem z obrzynkiem dubeltówki do lasu i upolowałem ładnego zająca. Będzie więc paszтет zającecy. Złapałem również w rzece pod lodem kilka kleni, dwa miętusy i dwa szczupaki. Zastąpią karpia. Nie brakuje nam kapusty, suszonych grzybów i owoców. Mamy także orzechy laskowe.

Dwunasty styczeń 1945 roku. Ma się ku wieczorowi, kiedy nagle zaczynają drgać szyby w oknach gajówki. Potężne grzmoty ogłuszają nas i porażają. Chwilami mam wrażenie, że powietrze jąka się, a cała okolica skręca się w wielkim, strasznym bólu. Niesamowity trzask i zgrzyt, jakie przy tym powstają, rozsadzają głowę i sięgają do samego rdzenia kostnego. Czyżby już ruszył front? Pierwszy odruch – uciekać, schować się gdzieś. Zdobywam się jednak na odwagę i wychodzę na podwórko. Nie widzę żadnych zmian w obejściu. Nikogo nie ma w pobliżu. Spoglądam w kierunku wschodnim – z każdą minutą wyłania się coraz bardziej ogromna czerwona luna. Nadal towarzyszą jej wybuchy, huki i grzmoty. Ziemia drży pode mną. Czuję przejmujący chłód. Wracam do domu i mówię co widziałem. Zapewniam wszystkich, że na razie nic nikomu nie grozi, gdyż to co słycać, dzieje się jeszcze za lasem.

– A więc zaczęło się – odzywa się ojciec.

– Tak, wreszcie się zaczęło. Żebyśmy tylko to przeżyli – mówi matka z trwogą w głosie.

Zacząła się dyskusja nad tym, czy już przenosić się do schronu poza domem czy dopiero z chwilą nadejścia frontu. Przeważył pierwszy pogląd. Matka decyduje, co mamy przenieść do schronu. Rozkłada prześcieradła na podłodze w izbach. Przygotowanie tobołków idzie sprawnie, gdyż każdy z nas wie co ma zabrać. W Workach znalazły się najpotrzebniejsze rzeczy kuchenne i gospodarskie. Potykając się na nierównościach terenu przenosimy dobytek do schronu. Towarzyszą nam błyski

wybuchów, łuna oraz wyskakujące zza lasu rakiety oświetlające. Wszystko to powoduje grozę, lęk, strach.

Pozostało jeszcze nakarmienie zwierząt domowych. Po tych czynnościach zamykamy dom na kłódkę i wynosimy się z niego. Przy lampie naftowej i karbidowej, wśród tobołów i sprzętu domowego, na przyniesionej wcześniej słomie spędzamy długie, monotonne godziny oczekiwania na front. Zasypiam zagrzebany w swym legowisku. Następnego dnia rano losujemy, kto ma iść do domu nakarmić inwentarz żywy i przynieść coś do picia. Pada na mnie. Wolę jednak zająć się czymś niż siedzieć beczynnym w schronie. Na dworze wszystko bez zmian. Nadal słychać huki wystrzałów i wybuchów. Drogę między schronem i domem pokonuję biegiem. Doję krowy. W domu rozniecam ogień w kominie, stawiam na nim czajnik z wodą, karmię żywy inwentarz. Z przygotowaną wodą wracam do schronu. Matka robi śniadanie.

W godzinach popołudniowych wychodzi ze schronu ojciec. Wykonuje te same czynności w domu, jakie ja wykonywałem rano. Zamiast sam, zjawia się z trzema osobami znajomymi zamieszkałymi na parceli przy moście. Przyszli do nas z prośbą, abyśmy ich przyjęli do naszego schronu. Wiedzą, że mamy taki. Okazuje się, że i te osoby się zmieszczą, ale będzie nieco ciasno. W nowej sytuacji zachodzi jednak konieczność ustalenia regulaminu przebywania w schronie. Kierownikiem schronu zostaje ojciec. Ustala pewne zasady współżycia oraz kolejność wychodzenia do domu w celu nakarmienia inwentarza żywego (trzy razy dziennie) i przyniesienia zagotowanej wody. Rano ma wychodzić do domu ojciec, ja w godzinach popołudniowych, a Mietek wieczorem. Zaczyna brakować świeżego powietrza w schronie, więc uchylamy jego pokrywę. Następuje pewna ulga w oddychaniu.

Upływa druga doba w schronie. Walki toczą się nadal w rejonie Wisły. Zmagają się potężne armie. Nadal słychać wybuchy, zgrzytanie, gwizd, tarcie, chrobotanie, wycie, szuranie, miauczenie, terkot i inne trudne do określenia dźwięki i odgłosy. Kiedy wyglądam ze schronu, albo idę do gajówki przez pola w celu nakarmienia inwentarza żywego i dostarczenia do schronu potrzebnych środków do życia, widzę nadal wyłaniające się zza lasu chmury dymu. W nocy zaś wydaje mi się, że wschodnia strona płonie. Dopiero koniec drugiej doby przyniósł osłabienie natężenia walk.

Trzeciej doby zaczynamy i my odczuwać działania frontu. Pociski artyleryjskie dolatują do naszej okolicy. Padają to tu, to tam, przed nami i za nami, z prawa i z lewa. Dochodzi godzina czternasta. Nadeszła moja kolejka nakarmienia inwentarza żywego w gajówce i przyniesienia zagotowanej wody. Z duszą na ramieniu wychodzę ze schronu. Ruszam do gajówki na przełaj przez pole. Potykam się o zmarznięte zagony i bruzdy. Na miejscu pierwszą moją czynnością jest sprawdzenie stanu całego domostwa. Takie mam polecenie. Obchodzę go naokoło, ale nic szczególnego nie widzę. Kieruję się do stodoły. Chwytam płachtę i nabieram w nią siana. Wiążę jej rogi i zarzucam sobie toboł na plecy. Niosę go do obory. Krowy i koń chwytają żarłocznie karmę. Doję dwie krowy. Idę do budynku mieszkalnego, rozpalam ogień pod kominem i stawiam czajnik z wodą na fajerkach, aby się zagotowała. Tylko trzeba na to sporo czasu. Nie czekam więc do momentu, aż się zagotuje. Wychodzę z domu. Co chwila gwizdże pocisk nade mną. Lustruję teren wokół gajówki i oglądam każdy jej budynek z osobna. Jest ich trzy – mieszkalny, stajnia i stodoła. Nagle moją uwagę zwracają trzy duże leje po pociskach artyleryjskich znajdujące się w odległości kilkunastu metrów od budynku mieszkalnego. Spoglądam na budynek. Jego szczytowa ściana i dach posiekane są przez odłamki pocisków. Zarówno w ścianie, jak i w dachu widać kilka dziur. Z dachu spadło kilka gontów. Jedno okno jest bez szyb...

Nagle głuchy i potężny wybuch targa ziemią i powietrzem. To nie pocisk artyleryjski, ale znacznie potężniejszy, gdyż ziemia zatrzęsała się w posadach. Biegnę za stodołę zorientować się co się stało. Moim oczom ukazuje się wielki słup dymu, wyłaniający się spoza olszyn rosnących gęsto nad rzeką. Niemcy zerwali most na naszej rzece! – myślę. – A to bandyci! Z tego wynika, że wojska niemieckie przeparıły się na drugi brzeg rzeki. Drugi wniosek, że Rosjanie są już blisko, gonią ich. Tylko ich patrzeć. Opanowuje mnie żądza zemsty. Ale jak znaleźć teraz tych oprawców, którzy zniszczyli nasz most? Gdzie ich szukać? Pewnie dranie, wykonawszy swoją bandycką robotę, wsiedli do jakiegoś samochodu i zwiali.

Stoję przy gajówce bezradny i medytuję nad tym co się stało kilka minut temu. Wtem słyszę szczekanie psa. Nawet nie chce przyjmować posiłków, a teraz nagle odzyskał mowę? Dziwne... Biorę lornetkę, pistolet i wychodzę z domu. Przechodzę przez podwórko i staję przy ogrodzeniu. Lustruję przedpole. Przechodzę z drugiej strony i penetruję oczyma teren przyległy do gajówki, ale nic nie widać. Słychać natomiast jakby ludzkie głosy dochodzące od młyna. Patrę przez lornetkę na zakręt rzeki. Jasny gwint... Niemcy. Jak mnie oczy nie mylą jest ich trzech. Idą brzegiem rzeki. Schodzą z pagórka między olszynami. Na głowach mają hełmy. Są uzbrojeni po zęby. Czyżby ci, którzy pilnowali mostu? Tak, oni – saperzy. Poznają ich. Chyba diabeł zsyła mi was, aby się z wami policzyć – myślę. Nie uciekniecie szosa, bo ostrzeliwuje ją artyleria Rosjan. Boczne drogi i ścieżki są teraz dla was bezpieczniejsze.

Krew uderza mi do głowy. Nie medytując długo, skradam się do miejsca, w którym mam schowany pistolet maszynowy, naboje i granaty. Niech i ja mam swój udział w wyzwaniu naszego kraju. Takiej

okazji nie można przepuścić. Nigdy bym sobie tego nie wybaczył. Wyjmuję ze schowka pistolet maszynowy, woreczek z nabojami i trzy granaty. Pistolet parabellum mam przy sobie. Uzbrojony, ruszam ile sił w nogach na przełaj przez krzaki zagajnika w kierunku kładki, przez którą muszą przejść Niemcy na drugą stronę rzeki. Chodzi mi o to, abym był pierwszy, zanim dojdą do niej. Serce wali mi młotem. Kilka minut biegu i nie zauważony przez nikogo spuszczam się z wysokiego i urwistego brzegu w koryto rzeki. Nie widać żywej duszy. Granaty kładę przed sobą na murawie. Teraz myślę tylko o tym, w jaki sposób zaatakować Niemców, kiedy będą dochodzili do kładki. Czy ostrzelać ich z pistoletu maszynowego czy obrzucić granatami. Pospiesznie przeprowadzam kalkulację. Dochodzę do wniosku, że najpierw ostrzelam ich z pistoletu maszynowego, a kiedy upadną na ziemię poprawię im granatami.

Oczekiwanie się przedłuża. Dlaczego nie nadchodzą? I kiedy mam się podnieść z ziemi, słyszę tupot butów po grudzie i chrzęst oporządzenia wojskowego. A jednak idą – myślę. Sam nie wiem, czy się cieszyć czy się smuć. Przylegam do ziemi w wyglądam zza zarośli. Jest ich trzech. Idą w moim kierunku. Rozmawiają, gestykują, śmieją się, palą papierosy. Kieruję w ich stronę pistolet maszynowy. Celuję, po czym naciskam język spustowy. Długa seria pocisków leci na nich. Padają. Biorę granat do ręki. Pociągam za tasiemkę, podnoszę się z ziemi i z jak największym wyczuciem, na jakie mnie stać, rzucam go. Silny wybuch targa ziemią, a potem podmuch powietrza muska mnie po twarzy. Odłamki granatu sypią się po rzece i furczą nade mną. Rude włosy Niemców rozsypują się po murawie. Dwóch nie daje znaków życia, ale jeden usiłuje się podnieść z ziemi i chwytając za pistolet maszynowy. Kieruje go w stronę rzeki i strzela w powietrze. Słyszę jęk i przekleństwa. Jeszcze żyją – myślę. Chwytam drugi granat, wyszarpuję tasiemkę, zamach i padam na ziemię. Po wybuchu podnoszę głowę i wyglądam zza skarpy. Teraz ukazuje się przykry widok. Poszarpane przez granaty ciała żołnierzy – wrogów leżą w różnych pozach. Już się żaden nie porusza. Ich broń i oporządzenie walają się obok. Obraz zniszczenia i śmierci, jaki ukazał się w całej okazałości oszałamia mnie. Czuję mdłości w dołku i jakby słabość. Czuję niesmak. Przejmujące zimno daje mi się we znaki. Podnoszę się z ziemi, wyprostowuję zdrętwiałe nogi. Jestem niby dumny z siebie, że rozprawiłem się z wrogami, a mimo to nie czuję specjalnej radości, zadowolenia. Dlaczego, dlaczego wtargnęliście do nas? Dlaczego zagarnęliście nasze ziemie? Kto was tu prosił? Gdybyście tego nie zrobili, nie stałoby się to, co się stało – wyrzucam z siebie, jakbym się przed kimś usprawiedliwiał.

Podchodzę do zabitych i zabieram im dwa pistolety MP i granaty. Przewiesiwszy swoją i zdobyczą broń przez plecy, ruszam w kierunku gajówki. Zimno przynagla mnie do biegu. Nade mną przelatują pociski artyleryjskie. Dopadam gajówkę. Chowam w skrytce broń. W kuchni robię sobie gorącą herbatę. Rozgrzewa mnie. Z każdą minutą czuję się lepiej. Nie marudząc dłużej chwytam czajnik z gorącą wodą, zamykam dom na kłódkę i biegnę do schronu. Zdyszany otwieram pokrywę i wsuwam się do niego. Wszystkie oczy mieszkańców schronu spoczęły na mnie. Oszołomiony jeszcze przeżyciami ostatnich chwil, czołgam się do swego legowiska i zagrzebuję się w sianie. Zamieram w bezruchu. Czuję się dziwnie, nieswojo. Wydaje mi się, że jestem coś komuś winien. Czuję jakiś ciężar na sobie.

– Gdzie to tak długo przebywałeś? – odzywa się matka.

– Jak to, gdzie? Tam, gdzie należało. Nakarmiłem dobytek, zagotowałem wodę, zlustrowałem gospodarstwo i przez jakiś czas kryłem się przed Niemcami, którzy szli koło rzeki. Przez nich nie mogłem wrócić wcześniej do schronu.

– O czym on mówi? O jakich Niemcach? Przecież już uciekli z naszego rejonu. Co to ma znaczyć? Gadaj wyraźnie, jak to było z tymi Niemcami – irytuje się matka.

– Nie wymyśliłem ich. Byli przy gajówce. Zerwali most na rzece i wycofywali się polnymi drogami. Chyba słyszeliście taki straszny huk. Zamiast uciekać szosą, szli brzegiem rzeki koło gajówki. Jakiś czas siedzieli przy stodole. Co tam robili, nie wiem. Chyba jedli. Pies czekał, ale ja nie wychodziłem do nich z kryjówki. Dobrze, że nie dobijali się do domu, bo miałem przygotowaną broń na nich. Kiedy sobie Niemcy poszli, to i ja ruszyłem...

Wstaje trzeci dzień przebywania w schronie. Po przebudzeniu się wychylam głowę z niego i przez lornetkę rozglądam się wokół. Jakaś siła wypycha mnie teraz ze schronu. Czuję pragnienie walki, bicia, dobijania, zabijania, gonięcia uciekających Niemców. Tkwi bowiem we mnie nadal świadomość tego, że zniszczyli nasz kraj i wymordowali kilka milionów naszych rodaków w czasie okupacji.

– Jacys ludzie pojawili się na skraju lasu! Widzę żołnierzy ubranych w szare płaszcze. Mamy wreszcie naszych wyzwolicieli! – krzyczę.

W schronie zawrzało jak w ulu. Nie słyszę jednak co kto mówi, gdyż moja głowa wystaje ponad wąż. Widzę, jak na brzegu lasu żołnierze kopią stanowiska ogniowe, ustawiają działa, czołgi, samochody i moździerze. Wszystko to maskują gałęziami jodłowymi. Skierowuję lornetkę na wzniesienie po przeciwnej stronie. Tu z kolei Niemcy przygotowują się do obrony. Od czasu do czasu wybucha jakiś pocisk artyleryjski. Jest względny spokój. Dopiero w południe skraj lasu jakby ożył. Rosjanie zasypują pozycje niemieckie gradem pocisków. W pewnym momencie dochodzi do naszych uszu potężny, straszliwy zgrzyt „Katuszy” – nowej broni radzieckiej. Po jakimś czasie koncert artyleryjski cichnie, a za chwilę nadlatuje grupa samolotów szturmowych z gwiazdami. We wsi, która jest jeszcze w rękach

Niemców wybucha kilka pożarów. Nie widać ani jednego samolotu niemieckiego. Nie odzywa się także artyleria przeciwlotnicza, jak to było latem, kiedy front stał na Wiśle. Terkoczą tylko jeszcze niemieckie gniazda ciężkich karabinów maszynowych. Widać teraz, jak wypelzają z lasu czołgi, a za nimi piechota. Po krótkiej walce oddziały radzieckie opanowują wieś przez którą przechodzi szosa do Kielc.

Wokół nas opustoszały pola. Widać na nich kilka rozbitych czołgów, wala się wiele sprzętu wojskowego. Ziemia usłana jest zabitymi żołnierzami. Oszałamiający widok. Szosą posuwają się w kierunku miasta kolumny samochodów różnych typów. Na tym koniec panowania Niemców u nas. Kiedy patrzyłem na ten ostatni akt wyzwolenia naszej krainy przez wojska radzieckie, wydawało mi się, że śnię.

Matka i ojciec postanawiają, że na wszelki wypadek pozostaniemy jeszcze w naszym schronie. Czas teraz wlecze się niemilosierdzie. Każda minuta wydaje mi się wiekiem. Tak upływają długie godziny. Słońce wskazuje już popołudnie, kiedy nad naszym schronem coś dudni. Zatrzymujemy oddech w piersiach. Zamieniamy się w słuch. Teraz dopiero przyznaję rację starszym, że nie należy opuszczać schronu przed upewnieniem się, że nie grozi nam jakieś niebezpieczeństwo. Nagle coś szurnęło nad nami i pokrywa włazu odsuwa się. Do środka wpada świeże powietrze. Po chwili ktoś odzywa się po rosyjsku:

– Alo! Kto zdzies nachoditsja? Germańcy ili Polaki?

– Polaki, Polaki – odpowiada ojciec przybliżywszy się do włazu.

– Haraszo! Możecie uże wyjti iz ziemiłanki. Germańcy kaput – mówi żołnierz donośnym głosem i odala się od schronu.

– Co on powiedział? – pytamy ojca znajdującego się przy włazie.

– Powiedział, że wojna skończyła się już dla nas i że możemy wyjść ze schronu, bo Niemcy już tu nie wrócą. I żebyśmy się już ich nie bali.

Napięcie, jakie trzymało nas do tej chwili w szponach, nagle pryska. Ja tylko zadaję sobie pytanie, w jaki sposób żołnierze znaleźli nas w tym schronie? Nie zastanawiam się jednak nad tym długo, gdyż wszyscy kierują się do wyjścia. Rozsadza mnie ciekawość, co za gości zesłał nam los. Pragnę zobaczyć żołnierzy, którzy wyzwolili nas z niewoli niemieckiej. Rozglądam się. Widzę trzech żołnierzy oddalających się w kierunku drugiego zniszczonego mostu na rzece. Oni odwracają się do nas i machają rękami. Coś krzyczą. Ale odległość dzieląca nas od siebie nie pozwala na zrozumienie ich słów. My również odpowiadamy im machaniem rąk. Świadomość tego, że jesteśmy już wolni rozpiera nasze piersi i serca. Padamy sobie nawzajem w objęcia i życzymy wszystkiego najlepszego. Kobiety szlochają z radości. W moich uszach dźwięczą nadal słowa wypowiedziane przez żołnierza – „dla was już wojna się skończyła”. Cóż za piękne, nadzwyczajne, wspaniałe słowa! Czy może być coś piękniejszego? Chyba nie.

Upoiwszy się pierwszymi wrażeniami i urokami z odzyskanej wolności, wracamy jeszcze do schronu po znajdujące się w nim tobołki. Dźwigając je na sobie, ruszamy do domu przez pole na przełaj, nie zachowując już takiej ostrożności, jak zaledwie kilka godzin temu. Nie biegniemy, jak przedtem w obawie, że uderzy w nas pocisk artyleryjski, względnie rozerwie się przy nas lub spotka kula żołdaka niemieckiego. Rozprawiamy głośno o tym co nastąpiło.

Gajówka stoi jak przedtem. W zasadzie nic jej się nie stało. Sprawa własnego domu ma teraz dla nas ogromne znaczenie, gdyż nadal trwa duży mróz. Jesteśmy szczęśliwi, że nasza gajówka ocalała podczas przechodzenia frontu przez ten rejon. Czysty przypadek. Po prostu udało się nam, mieliśmy trochę szczęścia. Patrząc z dala, wydaje mi się, że dom nie jest uszkodzony nawet, ale kiedy zbliżam się do niego, okazuje się, że jest trochę podziurawiony, a część rogu urwana. Tu trafił jeden z większych odłamków pocisku artyleryjskiego, który upadł kilka metrów od budynku. Drugi, nieco mniejszy ugodził w ścianę szczytową, dziurawiąc ją na wylot. Dach jest podziurawiony w kilku miejscach przez drobne odłamki. Kilkadziesiąt gontów zerwanych. Wszystko to są jednak drobiazgi. Większy problem, to brak szyb w jednym oknie od strony wschodniej. Jest duży mróz, a więc w pierwszym rzędzie zasłaniamy okna, gdyż wiatr hula po wszystkich izbach domu. W pewnej chwili przypominam sobie, że na strychu znajduje się kilka zapasowych ram okiennych z szybami. Moja radość nie ma granic, kiedy je znajduję. Wkrótce zostają zamontowane.

Słońce chyli się ku zachodowi, gdy pojawia się kilka samochodów z działami przeciwlotniczymi. Żołnierze ustawiają je w odpowiednim porządku bojowym, lufy armat stoją pionowo i czekają na przeciwnika powietrznego. Ale takowy się nie zjawia. Po dwóch godzinach obsługa dział przyczepia je do samochodów i mała kolumna rusza na zachód. Już się ściemnia, kiedy warkot silników oznajmia nam, że mamy kolejnych gości. Tym razem podjeżdża pod gajówkę kilka samochodów, wśród których znajduje się radiostacja dużej mocy z wysokim masztem. Okazuje się, że nowi goście zostaną na noc. Pytają, czy mogą zakwaterować w gajówce.

– Proszę bardzo, możecie zakwaterować, ale w domu bardzo zimno. Podczas nadchodzenia frontu znajdowaliśmy się w schronie, a więc nie było palone w piecach – mówi ojciec.

– Niczewo! Niczewo! Pomożemy! – deklaruje żołnierz.

Dwóch żołnierzy rąbie drwa. Jeden pali w piecach. Przybysze zajmują jedną izbę. Druga została dla nas. Kuchnia jest dla wszystkich. Po kilku godzinach w całym domu robi się ciepło i przytulnie. W porównaniu z tym, co mieliśmy w schronie, jest to raj. Z dostarczonej przez żołnierzy mąki matka piecze podpłomyki. Potem gotuje barszcz czerwony. Przynosi mleko ze spiżarni. Idzie do krów, aby je wydoić. Będzie świeże mleko. Jeden z żołnierzy gotuje ziemniaki. Kiedy przychodzi pora na kolację, goście przynoszą konserwy rybne i mięsne, słoninę i spirytus. Rozkładamy duży stół w kuchni dla kilkunastu osób. I tak oto pierwszy wieczór po wyzwoleniu naszej krainy spędzamy z żołnierzami radzieckimi. Wznosimy toasty za wyzwolenie kraju spod jarzma niemieckiego, za wojska radzieckie i polskie, które przepędziły Niemców, za przyjaźń między naszymi narodami. Nie brakuje żartów i dowcipów. Co chwila wybuch śmiechu, kiedy nie możemy się dobrze porozumieć lub rozumiemy się opacznie. Ogólnie jednak dogadujemy się. Tego wieczoru nie przedłużamy jednak zbyt długo, gdyż jesteśmy bardzo zmęczeni. Nawet zasypiamy przy stole. Każdy z nas pragnie snu w normalnych warunkach, a nie w wilgotnej i zimnej ziemiance.

Drugi dzień po wyzwoleniu naszej krainy zaczyna się już spokojnie. Nie słychać strzelaniny, ani wybuchów w okolicy, jak to było jeszcze wczoraj. Wszystko to przeniosło się na zachód, za Kielce. Teraz słychać front na zachodniej stronie, a nie na wschodniej. Z każdą godziną jego odgłosy stają się jednak cichsze.

Po śniadaniu i nakarmieniu inwentarza żywego wychodzę z domu, aby przyjrzeć się samochodom stojącym w pobliżu domu. W jednym z nich, który wygląda jak duży domek kempingowy na kołach coś huczy, buczy, brzęczy i czasami gwizdże, kiedy żołnierz kręci pokrętłami. Sterczy na nim wysoka antena. Spostrzegłszy mnie żołnierze zapraszają do wnętrza domku. Wchodzę po schodkach do obszernej kabiny, jak do saloniku, wokół którego rozstawione są różne aparaty i urządzenia. Dwóch żołnierzy siedzi na małych stołkach przy aparatach ze słuchawkami na uszach. Jeden z podoficerów znający trochę język polski wskazuje mi urządzenia, wymienia ich nazwy i mówi do czego one służą. A kiedy mam opuścić ich gospodarstwo, wyjmuję kawałek kartki, pisze na niej swój adres domowy i wręcza mi ją. Prosi, abym napisał do niego po wojnie. Ja również podaję swoje nazwisko i adres. Również proszę, żeby napisał do mnie. Opuszczając radiostację jestem mile zdziwiony, że Rosjanie nie odpędzili mnie od ich sprzętu wojskowego. Nie boją się, że ukradnę im tajemnicę wojskową.

Po obiedzie żołnierze zwijają swoje urządzenia i ruszają na zachód.

– Do widzenia. Jedziemy na zachód, na Berlin, żeby dobić niemieckiego gada w jego legowisku – mówią wesoło, jakby to nie było nic strasznego.

Stoimy całą rodziną i machamy im rękami dotąd, aż zniknęli nam na horyzoncie. Zmarznięci nieco, idziemy do domu...